

# UFO

nad nami



**KAZIMIERZ  
BZOWSKI**



# UFO nad nami

**Autor:** Kazimierz Bzowski

Spis treści:

Od autora do p.t. czytelników

Zamiast wstępu... UFO w 1943 r.

Rozdział I

Rozdział II: Trochę statystyki

Rozdział III: Lądowanie UFO w Chałupach 08.08.1981 r.

Rozdział IV: Mało znane polskie lądowania

## Od autora do p.t. czytelników

Nie zamierzam nikogo przekonywać o istnieniu bądź nieistnieniu UFO. Dawno już napisano za dużo na ten temat. Przeczytajcie co tu dalej podałem w oparciu o własne i cudze doświadczenia i sami wyróbcie sobie własne zdanie. Ze swej strony starałem się być jak najbardziej obiektywny, a podałem naprawdę dużo materiału osiągniętego przez ponad trzydzieści lat pracy człowieka, który starał się serio zająć tymi zagadkami, w uproszczeniu zwąc się „ufologiem”. Dla orientacji czytelników spójrzcie z jakimi przypadkami pojawienia się tych zdarzeń spotkacie się na łamach tej książki. Większość z nich słabo i rzadko bądź wcale nie pojawiała się w naszych krajowych relacjach. Książka, którą będziesz czytać, jeśli chodzi o przypadki krajowe – stanowi w większości owoc prac autora z okresu ostatnich trzydziestu lat, a także wspomnianych na jej łamach warszawskich badaczy terenowych. W niewielu przypadkach odwoływałem się do zdarzeń ufologicznych, które miały miejsce w wielu miejscach na świecie, starając się wybierać te, które słabo lub wcale nie są znane opinii czytelników polskich i nie były publikowane ani w prasie krajowej ani też w książkach polskich autorów lub tłumaczonych na nasz język. Spójrzmy, z jakimi przypadkami spotkamy się na kartach naszej książki:

- 1) UFO nad warszawskim gettem w 1943 r.
- 2) Zdjęcie UFO z 1959 r.
- 3) Przechwycenie UFO w Kecksburgu w USA.
- 4) Lądowanie UFO wprost na człowieka w 1981 r.
- 5) UFO nad Warszawą w 1981 r.
- 6) UFO nad Krakowem w 1979 r.
- 7) Wzięcie w kosmos w pobliże Antaresa w 1982 r.
- 8) Fot.UFO nad Oławą w 1998 r.
- 9) „Świerszczyki”, niewidzialne UFO.
- 10) UFO w Chałupach na Helu.
- 11) „UFO w kapuście” 1984 r.
- 12) Góra Kalwaria 1998 r.
- 13) Katastrofa samolotu w Powsinie w 1987 r.
- 14) Reptiloidzi pod Warszawą.
- 15) Chomiczówka 1985 r.

oraz wiele krótszych opisów.

## Zamiast wstępu... UFO w 1943 r.

Była to wiosna, 9 kwietnia 1943 roku. Dzielnicę żydowską w Warszawie otaczać zaczynały samochody pełne uzbrojonych esesmanów oraz inne obcokrajowe formacje, o których obecnie przeważnie zapomina się opisując tamte dni. Dlaczego nie spotkałem w żadnym z opracowań o ostatnich dniach getta wzmianki o sąsiadach z za północnej dawnej polskiej granicy? Może dlatego by nie pogarszać stosunków z Litwą? Byli to bowiem znani z okrucieństw litewscy „szaulisi” (strzelcy) tym groźniejsi, że większość z nich mówiła dobrze po polsku. Ich mundury koloru zgniłej zieleni wyróżniały się czarnymi mankietami rękawów płaszczy i czarnymi kołnierzymi.

Pamiętam z tamtego nieludzkiego czasu, że tych s...synów trzeba było się bardziej pilnować niż rodowitych Niemców, którym wysługiwali się na każdym kroku. Polaków nienawidzili chyba jeszcze bardziej niż Żydów, których mieli pilnować. Mam – po tylu latach – przed oczami każdy szczegół ich umundurowania i uzbrojenia.... Pamiętam również polskich policjantów w ich granatowych mundurach, do których jednak Niemcy nie mieli zaufania domyślając się, że wielu z nich nie tylko lituje się nad skazanymi na śmierć Żydami zamkniętymi w getcie, ale i w każdej formie stara się im pomagać. Dlatego też zatrudniano ich wyłącznie przy bramach wiodących do tej dzielnicy zawsze dodając im jako nadzorcę jakiegoś z „Schupo” (Schutz-Polizei, policji ochronnej), niemieckiego policjanta i zdarzało się, że starszy przodownik (starszy sierżant) Polak był nadzorowany przez szeregowca, ale Niemca...

Zbliża się godzina wczesnego poranku. Obserwujemy z zewnątrz, z dzielnic „aryjskich”, czyli po prostu z terenu Warszawy poblize bram getta. Wewnątrz otoczonej dzielnicy ani żywej duszy. Mieszkańcy getta zdawali sobie sprawę, że nadchodzi to najgorsze. Wielu z nich wiedziało zresztą o tym, że nadejdzie to właśnie tego dnia i byli w pogotowiu. Członkowie żydowskiej organizacji bojowej mimo nielicznego i słabego uzbrojenia gotowi byli umrzeć, w walce, z bronią w ręku. Nie dać się zarzynać jak bezbronne barany.

Czemu piszę o tym? Nie byłem przecież obrońcą getta, obserwowałem to wszystko z terenu Warszawy, z jej „aryjskiej” strony. Rzecz w tym, że wówczas jako osiemnastoletni młodzieniec, posiadający wrodzoną, wręcz fotograficzną pamięć wzrokową, wykonywałem zadania „zwiadowcy” w ramach AK co było szczególnie istotne przy rozpoznawaniu różnych rodzajów formacji wojskowych i policyjnych z większych odległości. Przeszedłem w tym kierunku specjalne przeszkolenie i to był jeden z kolejnych sprawdzianów moich umiejętności.

Wraz z moim dowódcą, starszym wiekiem i stopniem kolegą penetrowaliśmy od rana, od momentu rozpoczęcia holocaustu, poblize zewnętrznych murów otaczających getto, zapamiętując i nanosząc na plany dokładne miejsca ustawienia cięższej broni, zaznaczając ich kaliber, donośność, pole ostrzału itp. dane, przydatne przy jakimś ewentualnym ataku z zewnątrz – a jak się domyślaliśmy dane te mogły zostawać przekazywane i do wnętrza getta, do wiadomości jego obrońców. Towarzyszył mi kolega „Bruno”, sierżant podchorąży ps. „Wąż”, tym cenniejszy przy tego rodzaju zadaniach, że mówił po niemiecku jak rodowity berlińczyk. Po południu owego dnia musieliśmy się już oddalić z najbliższej okolicy murów otaczających getto od północy. Każdy ktokolwiek się tam pojawiał, a nie był umundurowany, był ostrzeliwany właśnie przez tych szaulisów, których Niemcy wysyłali na tereny narażone na ogień obrońców getta.

Dzielnica płonąła, słyszeliśmy nieludzkie krzyki ludzi palonych żywcem, mury starych kamienic północnej dzielnicy zbliżonej do torów w pobliżu Dworca Gdańskiego i obecnych terenów Instytutów Chemicznych, w których wówczas mieściły się magazyny SS, otoczone były kłębami dymu. Domy podpalane były ogniem miotaczy płomieni, ostrzeliwane z kilku samochodów pancernych i granatników, które widzieliśmy stojąc teraz na szczycie wiaduktu nad torami Dworca Gdańskiego, po którym normalnie kursowały tramwaje łączące Warszawę z jej północną dzielnicą,

Zoliborzem. Jednak w tramwajach tego pierwszego dnia walk w getcie było bardzo niewielu pasażerów. Razem z nami i koło nas stały grupki cywilnych Niemców i paru umundurowanych niemieckich kolejarzy robiących ze śmiechem zdjęcia w stronę walczącej dzielnicy i zabawiających się niewybrednymi, chamskimi żartami z jej obrońców. Tu przydała się znajomość języka niemieckiego mojego dowódcy. Dołączył się do tego chóru i beczelnie pożyczył od kogoś z umundurowanych Niemców trzymaną przez niego wojskową lornetkę Zeissa. Teraz obaj popatrywaliśmy w tamtą stronę, z odległości około kilometra precyzyjnie namierzając lornetką z wewnętrzną podziałką dziesiątą parametry dział samobieżnych, które nadjeżdżały ku kościołowi św. Jana Bożego przy wylocie ulicy Bonifraterskiej, stanowiącej północno-wschodnią granicę getta.

Było około godziny piątej po południu i kilkanaście minut po wypożyczeniu lornetki, gdy nad mury i domy płonącej dzielnicy od strony zachodniej, od cmentarza powązkowskiego, zaczęło nadlatywać coś dziwnego. Była to kula o ostrych konturach, wewnątrz której widać było wyraźnie mieszające się ze sobą i przeplatające się palczasto-zaokrąglone pasy dwóch ostro widocznych barw: malinowej i ciemno-zielono-niebieskiej, tak zwanej „pawiej”.

Kula poruszała się ruchem falistym, podwyższając lekko i obniżając swój lot. Mając już wyrobione, rutynowe nawyki obserwacyjne określiliśmy obaj jej prędkość na porównywalną z niemieckim samolotem zwiadowczym typu *Fieseler Storch*, to jest około 80 do 100 km w powolnym locie nisko nad ziemią. Przez lornetkę widać było pojedyncze okna górnych pięter płonących domów. Kula miała średnicę „czterech okien w starym budownictwie”, zaś wysokość lotu kuli nad domami określiliśmy jako „trzy kamienice nad kamienicą”. Przeciętna wysokość tych starych domów to cztery piętra plus parter, daje to około dwudziestu metrów, a zatem kula była nie wyżej niż sześćdziesiąt metrów nad domami i miała około ośmiu metrów średnicy. Tu przydała się podziałka kątowna w wypożyczonej niemieckiej lornetce; biorąc pod uwagę te parametry lotu, nieco później obliczyliśmy, iż „obiekt” był od nas oddalony w poziomie o około tysiąc sześćset metrów.

Niemcy i szaulisi strzelający ku oknom budynków, w których czasami się ktoś pojawiał, przeważnie nie żaden obrońca a tylko ktoś usiłujący się ratować z ognia, prawie jednocześnie na chwilę przerwali ogień – gdy kula wynurzyła się zza ściany dymów i nadleciała nad ich stanowiska u wylotu ulicy Bonifraterskiej, w pobliże dolnej południowej części wiaduktu nad torami kolejowymi, nad miejsce dobrze widziane zarówno przez nas jak i przez tych przygodnych widzów z „rasy panów”, którzy zresztą w tym momencie przypomnieli sobie o lornetce i zabrali ją „Brunowi”. Ale my już zdążyliśmy za pomocą tego niemieckiego sprzętu wykonać pracę zwiadowczą przeciwko im samym.

Przez kilka minut ze wszystkich luf broni ręcznej i maszynowej strugi pocisków świecących kolorowymi punktami leciały w stronę nadlatującej kuli. Widać było, że przechodzą one całymi wiązkami na wylot przez nią, a ona jakby sobie nic z tego nie robiła... leciała całkiem wolno nad nimi, później w stronę Starego Miasta. Tam na sekundę zatrzymała się nieruchomo poczym wzbiła się prawie pionowo wzwyż, niknąc na wysokościach z niewiarygodną prędkością. Tu nasze wprawione do obserwacji oczy zauważyły szczegół tego lotu, który przez dziesiątki lat nie miał nie tylko żadnego znaczenia ale i był niewyjaśniony... pozornie nawet nielogiczny. Otóż kula nadleciała od zachodu ale po sekundowym zatrzymaniu się, ulatując wzwyż odchyliła tor swojego lotu o kilka- kilkanaście stopni kątowych ku zachodowi, jakby z powrotem w stronę skąd przybyła... O tym czym ona była, dlaczego pojawiła się właśnie w tym czasie i co znaczyło to odchylenie lotu ku zachodowi, dowiedziałem się z badań nad UFO i „Siecią Wilka” dopiero czterdzieści lat później.

My sami wówczas podejrzewaliśmy, że może to być jakiś niezwykle obiekt latający, ale z pewnością nie niemiecki, skoro właśnie oni tak do niego strzelali. Nie wyglądało to jednak na coś skonstruowanego przez obrońców getta, prędzej na jakiś „aparat zwiadowczy” jednej ze stron biorących udział w wojnie.

Skąd mogłem wówczas wiedzieć, że po raz pierwszy w życiu dane mi było oglądać to, co w kilkanaście lat później zostanie nazwane mianem UFO?

Tu właśnie przydała się fotograficzna pamięć. Ile razy znajdę się w pobliżu tego terenu przypomina mi się wszystko: walki w getcie, płonące domy, dym i krzyki ludzkie. Strzały esesmanów i ta kula majestatycznie przelatująca nad mordowaną, prawie bezbronną resztką

mieszkańców.

Faktem jest jednak, iż od tego momentu – szczególnie w kilka lat po zakończeniu wojny – narastała we mnie chęć poznania tajemnic tego, co potocznie nazywamy UFO. Minęło już ponad trzydzieści pięć lat gdy po uszy wszedłem w tę tematykę. Chętnie podzielę się z Czytelnikami wiedzą na ten temat jaką zdobyłem przez ten czas.

## Rozdział I

Do moich rąk trafiło chyba najstarsze zdjęcie barwne UFO wykonane na slajdzie, nad Bugiem w pobliżu Wyszkowa w trakcie ruszenia lodów w marcu 1959 r.



UFO z lewej strony nad horyzontem, Wyszków marzec 1959 r.

Jednak pierwsze opisywane u nas w prasie pojawienie się UFO miało miejsce dopiero w roku 1978 w Emilcinie koło Opola lubelskiego, na polu Jana Wolskiego.

Wcześniej, żeby nawet UFO wylądowało na środku jakiegoś miasta, nie wolno było na ten temat puścić ani pary z gęby. Czemuż to?

Mało komu przyjdzie do głowy t e r a z, że pogląd, jakoby UFO było statkiem kosmicznym obcej cywilizacji przybywającym na naszą planetę nie wówczas gdy „my” (czytaj: „partia” na to pozwolimy, ale wówczas, gdy się temu obiektowi spodoba – był niedopuszczalny ze względów „ideowo-politycznych”.

Według ideologii „braci ze wschodu” Bóg „nie istnieje” a zatem i niemożliwym by było by jacyś „bogowie z kosmosu” mimo tego przylatywali i... o zgrozo! ośmielali się lądować w krajach obozu socjalistycznego „bez zezwolenia odnośnych władz”.

Myślicie że żartuję? Jeszcze w roku 1984 prowadząc niewielki klub zrzeszający osoby interesujące się UFO złożyłem w Urzędzie Cenzury krótki, kilkunastostronicowy maszynopis, będący konspektem co ciekawszych zachodnich obserwacji UFO, z zamiarem rozpowszechnienia go jako „Biuletyn” nie tylko pomiędzy klubowiczów ale i „na zewnątrz”. Normalnie na zezwolenie na druk tego rodzaju „jednorazówek” nie czekało się dłużej niż 2-3 dni. Ale nie wówczas, gdy w grę wchodziło UFO i to opisywane na zachodzie! Musiałem się tłumaczyć skąd mam dane, w jaki sposób wszedłem w posiadanie specjalistycznych zachodnich pism, czym i jak zapłaciłem za nie w dewizach, skoro nie mam konta dewizowego itp. itd. – jednym słowem było to przysłowiowe

rzucanie kłód pod nogi, aby tylko zniechęcić mnie do tego rodzaju publikacji. Dobrze chociaż, że teraz nikt się nie pyta w jaki sposób zdobywam dane.

Pierwszym zdarzeniem, które chcę Wam przedstawić, jest prawie nieznaną u nas incydent jaki miał miejsce w miasteczku Kecksburg w stanie Pensylwania w USA jeszcze w roku 1965. Pisało o nim we właściwym czasie wiele gazet amerykańskich, zaś zebrał je wychodzący w Wielkiej Brytanii kwartalnik *Flying Saucer Review* („Przegląd Latających Talerzy”). Periodyk ten wychodzi od 1982 roku i zalicza się do najpoważniejszych pism ufologicznych świata. W jego edycji 37 z 1992 roku zabrał głos Stan Gordon, jeden z czołowych badaczy organizacji MUFON. Tą dziwną nazwą określa się stowarzyszenie o pełnej nazwie Mutual UFO Network Incorporation, czyli Stowarzyszenie Sieci Wzajemnych Obserwatorów UFO. Posiada ono członków w ponad stu krajach świata.

Stan Gordon będąc dzieckiem mieszkał właśnie w Kecksburgu i mając dopiero 16 lat tak jak i jego rówieśnicy bardzo interesował się zdarzeniem, które poruszyło całą okolicę. Dziewiątego grudnia owego roku, wczesnym rankiem do spokojnego miasteczka zjechał batalion Gwardii Narodowej. Parę godzin później duży oddział straży ogniowej, mimo że nigdzie się jeszcze nie paliło. Pobliski podmiejski las otoczony został gęstym kordonem wartowników i odgradzony linami rozpiętymi na słupach. Wcześniej nieco, bo nocą z ósmego na dziewiątego grudnia nad kanadyjskim miastem Windsor, leżącym nad przesmykiem jeziora Erie, za którym leży amerykańskie Detroit, przemknął lecący poziomo obiekt podobny do kuli ognia. Pentagon to zjawisko określił jako „meteor” pomimo iż obserwatoria astronomiczne nie potwierdziły tego.

Nieznaną przybysz, który nadleciał od północy skierował się w stronę stanu Pensylwania. Do Kecksburga przysłano duży samochód, prawdopodobnie 6-cio tonowy (sądząc z jego oryginalnego zdjęcia) zaopatrzonego w dużą plandekę. Wydaje się, że wiedzano jakiej wielkości będzie to, co miało być nią nakryte oraz że wystarczy do tego samochód o tej powierzchni skrzyni ładunkowej. Ten fakt przewidywania wielkości tego co ma być wiezione samochodem jest co najmniej dziwny, jako że w incydencie przewozu szczątków UFO, który rozbił się w pobliżu Roswell użyto platformy samochodowej pozbawionej burt ale za to z nałożoną dodatkową płaszczyzną o powierzchni 24 metrów kwadratowych. Byłoby więc logicznym przewidywanie konieczności użycia podobnej wielkości samochodu, ale nie – tu przewidziano, (lub wiedziano!) że wystarczy zwykła ciężarówka.

W dwadzieścia pięć lat po tym wydarzeniu, gdy zakończył się ustawowy okres utajnienia zdarzenia, a więc w roku 1990, jedna ze stacji TV w USA nadała duży program o tych wydarzeniach. Efektem tego było zgłoszenie się ponad stu naocznych świadków. Byli wśród nich wojskowi i funkcjonariusze państwowi, którym do tej pory zamykał usta nakaz zachowania tajemnicy, w USA obowiązujący dla wszystkich wojskowych prac na okres dwudziestu pięciu lat. Tutaj zaś armia miała duży wkład w całą tę sprawę. Spójrzmy na zeznanie żandarma, który dnia 10 grudnia 1965, a więc następnego dnia po „upadku UFO” miał służbę w bazie wojsk lotniczych w Lockborne koło miasta Columbus w stanie Ohio.

„We wczesnych godzinach rannych, po ogłoszeniu czerwonego alarmu, do bazy wjechała platforma nakryta brezentem wioząca coś wysokiego o obłym kształcie. W hangarze, w którym stała platforma miałem służbę. Dostałem rozkaz by strzelać do każdego, kto by chciał zbliżyć się do tego, o ile nie miał na to zezwolenia na piśmie”.

Wyjaśnijmy, iż w armii USA istnieje kilkustopniowy system ostrzegania i alarmów. Dwa ostatnie, o największej ważności to „żółty alarm” nadawany sygnałem dźwiękowym i migającymi światłami tego koloru, oraz „alarm czerwony” mówiący o stanie najwyższego zagrożenia, na przykład w niebezpieczeństwie zetknięcia się z bronią jądrową przeciwnika. Tym razem był to właśnie taki stopień alarmu. Dlaczego go użyto? Skąd powstało takie przypuszczenie, że w tym przypadku ze strony UFO zagraża promieniowanie jonizujące w paśmie tego najgroźniejszego – radioaktywnego, gamma? Uważnie czytając niniejszą książkę sami dowiemy się, dojdziemy do

przesłanek i wniosków, które jednak wówczas w 1965 roku nie mogły być znane mieszkańcom nie tylko USA, ale i reszcie badaczy UFO.

Nieznany obiekt pozostawał w bazie Lockborne nie zdjęty z platformy tylko do godziny 19.30 dnia 10 grudnia 1965 roku, poczym wyjechał tym samym pojazdem do bazy Wright-Patterson w tym samym stanie Ohio.

Kolejny przebadany przez MUFON świadek, Robert Adams (nazwisko zmienione) mówi, że widział ten samochód wjeżdżający do Wright-Patterson rankiem 12 grudnia pomiędzy 6 a 7 godziną rano. Ponieważ odległość pomiędzy oboma bazami wynosi nieco ponad sto mil (tj. ok. 180 km) – świadczy to o tym, iż wieziono obiekt zachowując najwyższe środki ostrożności i zmniejszając prędkość samochodu do najmniejszej z możliwych.

Inny świadek jest przedsiębiorcą budowlanym. Poprzedniego dnia odwiedził go wyższy oficer lotnictwa i zamówił 6500 sztuk cegieł używanych do zabezpieczeń przed promieniowaniem radioaktywnym. Gdy ciężarówka tego świadka, nazwiskiem Cunnings, dostarczyły je w dniu następnym, widziano że w hangarze stoi dziwny samochód nakryty spływającą z sufitu zasłoną ze spadochronu, a na nim „coś” o kształcie gigantycznego „żołędzia” barwy ciemno-brunatnej prześwitującej przez półprzeźrystą tkaninę spadochronu.

Kazano jemu i towarzyszącemu mu pracownikowi nie zwracać uwagi na to co jest w hangarze i obudować wokół szczelną ścianą cały samochód wraz z ładunkiem. Mówił, że czuł się bardzo nieswojo pracując pod lufami wycelowanych w niego karabinów...

Zapowiedziano im, że mimo iż nie są żołnierzami, obowiązuje ich zachowanie ścisłej tajemnicy przez okres najbliższych dwudziestu pięciu lat. Jednak w roku 1990 okres ten minął i rozwiązały się świadkom języki... Ci, którzy zeznawali o zobaczeniu samochodu z tym ładunkiem wewnątrz baz mówili, iż wielkość nieznanego obiektu przyrównać można do dwóch „garbusów Volkswagenów” stojących pionowo jeden na drugim. Świadek Adams zeznał też, iż miał w swoim czasie służbę, gdy kiedyś prezydent USA Kennedy odwiedzał bazę. Twierdził, że wówczas przy wizycie prezydenckiej w bazie nie było nawet połowy takiej obstawy, jaką miał ten obiekt na samochodzie.

Po zamowaniu samochodu z ładunkiem (chyba z pozostawieniem jednak jakiegoś dojścia do niego – o czym jednak nie mówią żadne źródła) do hangaru wkroczyło kilku osobników w białych, lśniących kombinezonach przeciwpromiennych, w białych kaskach i rękawicach i twarzach skrytych za czymś w rodzaju masek przeciwgazowych.

„Służyłem niedawno w armii” – mówił jeden ze świadków – „ale z takimi maskami jeszcze się nie spotkałem!”

Jak wieść niesie, z wnętrza tego obiektu wyjęto czterech ż y w y c h ufonautów. Od tego momentu całą resztę incydentu obarczono najściślejszą tajemnicą, tak szczelną, że nie dotarł na zewnątrz nawet opis wyglądu owych ufonautów. Nie wykluczone jednak, że gdy w roku 1984 lądował w Anglii podobny obiekt w lesie Calverley o prawie identycznym z opisu wyglądzie – w obu przypadkach załoga mogła wyglądać podobnie. Trochę jednak na ten temat powiedzieli byli oficerowie wywiadu, występujący pod pseudonimem *Falcon* (Sokół) i *Condor* w programie TV, nadanym w USA jednocześnie z dwóch stacji w Waszyngtonie i Los Angeles – *UFO Live Cover up*, z dnia 14 października 1988 roku, a więc zanim zebrano jeszcze zeznania świadków. Miałem możliwość obejrzeć ten program w wersji oryginalnej.

Zeznający *Falcon* mówił tam, iż według jego naocznej obserwacji (stąd można było wywnioskować, że się z nimi stykał bezpośrednio) kilku ufonautów żyje (tj. żyło w 1988 r.) w jednym z podziemnych schronów na pustyni w Nowadzie. Można się z nimi porozumieć uproszczonym fonetycznym językiem. Sami o sobie mówią, że nazywają się, tu podaję to w polskiej wersji fonetycznej: *Krill*. Karmieni są tylko zimnymi potrawami, a w tym gotowanymi jarzynami i owocami, nie znoszą potraw białkowych ani mięsnych, uwielbiają za to lody owocowe. Ten dodatek o sposobie odżywiania się załogantów UFO wielu ufologów uważało za spreparowany przez realizatorów programu w celu podniesienia sensacyjności zdarzenia i „obśmiania” całego wydarzenia, sprowadzenia go na poziom bajeczki z gatunku s-f, tymczasem prawda może być zgoła inna a dla nas, ludzi mocno nieprzyjemna. Otóż jest całkiem możliwe, iż te istoty z poza naszej planety nie były ssakami (co raczej byłoby dziwnym...) lecz jakby krzyżówką pomiędzy czymś w



rodzaju owadów a gadami. O takich potworkach mówi bowiem duża część innych obserwacji takich „obcych”.

Opinia publiczna dużej części społeczeństwa żądała odtajnienia danych z akt wojskowych, z okresu wcześniejszego niż lata 1963, czyli z tego, gdzie nie obowiązuje już zachowywanie ustawowej tajemnicy. Dano im więc to, co chcieli, podstawiając dowolną osobę jako „zakamuflowanych agentów wywiadu”, dokładnie tak jak robi się to w brukowych filmach sensacyjno-fikcyjnych, akurat tak jak chciała tego duża grupa sceptyków ufologii. I znów prawda mogła być inna, absolutną prawdą mogło być właśnie to, co pokazano na filmie.

Żeby znów nie sprowadzać wszystkiego na poziom fikcji, łatwej do udowodnienia realizatorom, w film wmontowano kilka prawdziwych elementów, jak na przykład fakt, iż humanoid przechwycony w jednym z UFO rzeczywiście wydawał dźwięk *Krill* wskazując jednocześnie ręką na siebie. Mogło to być jego imię, ale równie dobrze jego funkcja jak i próba powiedzenia „jestem głodny”.

Inne dane, które czasami do mnie docierają, mówią że z tej grupy przechwyconych ufonautów do roku 1999 nie dożył ani jeden z obcych.

Dla badacza UFO incydent w Kecksburgu ma wielorakie znaczenie. Jest jednym z niewielu, w którym doszło prawie oficjalnie do stwierdzenia istnienia promieniowania radioaktywnego w kontekście UFO.

O podobnych znaleziskach pisze również francuski badacz-ufolog i zarazem autor Jean Paul Bourret w swojej książce *OVNI l' Armee Parle* („Armia mówi o UFO”). Cytuję wyjątek z tej książki:

„W gminie Cognac w rejonie Charente 18 września 1977 roku pojawił się nieznany obiekt OVNI”.

Tu moja uwaga: we Francji zamiast skrótu UFO używa się *OVNI* co oznacza *Object Volante non-Identifiee*, czyli dokładnie to samo, niezidentyfikowany obiekt latający.

Dalszy ciąg raportu brzmi:

„Na polnej drodze nr 18 wykryto kolisty ślad wgłębiony w grunt na 10 cm o średnicy dwóch metrów. Na miejsce przybyła grupa badaczy z GEPAN i stwierdziła, radioaktywność śladu wyższą o 50 % niż tło tego miejsca poza śladem”.

GEPAN to skrót od francuskojęzycznego *Groupe d' Etudes des Phenomenes Aerospatiaux Non-Identifiee* – czyli „Grupa badań niezidentyfikowanych fenomenów powietrznych”.

Była to organizacja utworzona w roku 1977 przy Centrum Badań Kosmicznych w Tuluzie na południu Francji przez kilku uczonych, zwolenników podjęcia realnych badań UFO. Przed kilku laty organizacja ta zmieniła nazwę na skrótową SEPRA. Sam fakt powstania tych organizacji jest ciekawy. Są one oficjalnie państwowe, jednakże jak podaje Gildais Bourdais w książce *OVNIS. 50 ans de secret*, GEPAN już od samego początku swego istnienia był zaledwie tolerowaną organizacją, zgodnie ze swym statutem składającą raport ze swych prac Radzie Naukowej przy Centrum Badań Kosmicznych. Ponieważ ogół uczonych astronomów był niechętny tym badaniom, w roku 1988 rozwiązano GEPAN i utworzono SEPRA, organizację na prawach „stowarzyszenia”, nie muszącą już składać żadnych kłopotliwych sprawozdań ze swych prac. SEPRA to skrót od *Service d' expertises des phenomenes de rentrees atmospheriques*, dosłownie w tłumaczeniu: „Służba rozpoznawania obiektów wchodzących w atmosferę”.

Dość dziwna nazwa dla organizacji mającej badać zjawiska związane z UFO. Zapomniano chyba o istniejących przepisach prawnych, zgodnie z którymi żandarmeria, pełniąca rolę policji poza Paryżem, co roku otrzymuje setki zgłoszeń o przelotach i lądowaniach OVNI (UFO) i wszczyna niejednokrotnie formalne dochodzenia, z którymi obecna SEPRA nie daje sobie rady, tym bardziej, że jak podaje to Gildais Bourdais, Francja jest jak dotychczas jedynym krajem w Europie, w którym zatajenie i niezgłoszenie do władz faktu obserwacji OVNI jest karalne. Z tymi napływającymi

materiałami nie wiadomo co począć, jako że ta organizacja liczyła (w połowie lat dziewięćdziesiątych) dwie osoby.

Fakt stwierdzenia radioaktywności śladu zarówno badacze francuscy jak i MUFON pozostawili bez komentarza tak, jakby była to sytuacja najnormalniejsza pod słońcem, że coś co się u nas pojawia, emituje promieniowanie gamma.

Brak jednak w przypadku Kecksburga jakiegokolwiek stwierdzenia naocznych świadków, które by mówiło choćby w zawołanej formie o podejmowaniu jakichś ustaleń czy badań radioaktywności na miejscu lądowania UFO. Trzeba wziąć pod uwagę że z pośród stu osób, które składały zeznania w tej sprawie, powinno być co najmniej kilka, którzy by coś takiego zauważyły, gdyby miało to miejsce, zanim wojskowi amerykańscy dostali się do wnętrza obiektu. Brak dowodu – bywa czasami, jeśli nie nim samym, to czasem przesłanką do jego uzyskania.

W prowadzeniu dochodzeń w jakiegokolwiek sprawie, nawet tak niezwyklej jak to, co zachodzi w kontekście UFO, przy braku jakiegokolwiek dowodów potwierdzających jakąś założoną tezę, można, dla celów „roboczych” posłużyć się przeciwieństwem dowodu na istnienie czegoś. Można wówczas próbować dojść istoty rzeczy poprzez tak zwany „dowód nie wprost”.

Tak i tu: brak dowodu na to, że radioaktywność pojawiła się dopiero wówczas gdy wojskowi dostali się do wnętrza UFO, wcale nie świadczy o tym, że takiego faktu nie było. Żeby spróbować dojść istoty rzeczy i chociaż zbliżyć się do prawdy, trzeba czasem wykonać daleką okrężną drogę. Zebrać większą ilość opisów podobnych wydarzeń, wyłapać z nich powtarzające się podobne zależności i dopiero wówczas, poprzez porównanie podobieństw, starać się pojąć, co mogło zajść wewnątrz tego UFO z Kecksburga w momencie, gdy otwarto jego wnętrze. Ale o tym dowiemy się sami. Sami również dojdziemy do jakichś wniosków, gdy prześledzimy inne zdarzenia. Czasami podobne w założeniu do tego z Pensylwanii, a czasem zupełnie różne. Wszystkie one mają jedną wspólną cechę: na wstępnym etapie badań są dla nas nieznanne, niezidentyfikowane.

Wiele wskazuje na to, że spodziewano się przybycia tego obiektu w okolice Kecksburga i dlatego zawczasu przygotowano wszystko na jego przyjęcie, zabranie na samochód i odwiezienie do jakiejś bazy. Fakt, że nikt nie zauważył jakiegokolwiek zabezpieczeń przeciwpromiennych, może jednak świadczyć o tym, że nie spodziewano się ich w dniu poprzedzającym dziewiąty grudnia ani tego też dnia.

Dziesiątego grudnia rano żandarm z bazy Lockborne – nie raportował niczego, z czego można by wywnioskować dwie rzeczy: a) że obiekt dotarł do Locksborne otwierany, i b) że w tym momencie istniało już jakieś zagrożenie ze strony promieniowania radioaktywnego. Gdyby wcześniej zaistniał któryś z tych dwóch punktów – Adams z pewnością złożyłby zupełnie inne świadectwo.

Jedenastego grudnia oficer lotnictwa każe Cunningsowi przywieźć cegły przeciwpromienne... Co się stało pomiędzy dziesiątym grudnia a jedenastym? Obiekt był przecież cały czas w posiadaniu armii i strzeżony silniej, niż strzeżono w swoim czasie prezydenta? Kto miał do niego dostęp oprócz członków armii? Nikt?

Czytając podobne opisy, choćby jak najbardziej udokumentowane i potwierdzone o najwyższym stopniu wiarygodności, zapominamy czasami o najprostszych prawdach. Tak prostych i tak zwykłych, że aż nie zwracamy na nie uwagi. I znów jaka jest jedyna odpowiedź na pytanie: kto miał dostęp do tego UFO pomiędzy dziesiątym a jedenastym grudnia 1965 roku? Ale tu na odpowiedź musimy poczekać... a może sami do tego dojdziemy w sposób logiczny?

Członkowie straży pożarnej, których wielu złożyło zeznania dla MUFON-u o zdarzeniu, po skonfrontowaniu swoich spostrzeżeń zbudowali dokładny model obiektu. Zauważyli też i zapamiętali znaki, być może mające jakiś sens, tworzące jakiś zapis, które widniały na bokach obiektu, a ściślej na jego „krezie”, tworzącej jakby podstawę tego „żołędzia”.

Incydent w Kecksburgu nie był odosobnionym zdarzeniem przechwycenia UFO. Takich przypadków w ciągu ostatnich lat było wiele, tu jednak wystąpiły elementy, które warto zapamiętać. Przypomnijmy je jeszcze raz: a) prawdopodobnie spodziewano się przylotu tego UFO, i b) już w momencie posiadania przez armię, wystąpił element emisji promieniowania gamma. Zapewne była to bardzo słaba emisja, skoro podjęto bardzo mizerne środki zabezpieczenia się przed nią.

Zapamiętajmy jednak te elementy.

Incydenty pojawień się UFO w owych latach sześćdziesiątych nie były jeszcze tak nagłaśniane jak obecnie. Przypomnijmy sobie, że były to pierwsze lata fascynacji pierwszymi lotami w kosmos i mieszkańcy bardziej rozwiniętych krajów, bardziej interesowali się lotami astronautów niż jakimiś tam UFO. Były jednak już grupy zapaleńców, zafascynowanych tym, co dzieje się na niebie.

Pierwszym właściwie szeroko opisywanym przybyciem UFO do naszego kraju był wspomniany już przypadek Jana Wolskiego ze wsi Emilcin. Ale ten właśnie pomijam, aby nie omawiać bez końca tego jednego zdarzenia, skoro było wiele innych, mało poznanych. Spójrzmy o jakich obserwacjach UFO pisała nasza prasa około roku 1979 i w późniejszych latach, zaledwie dwadzieścia lat temu:

Warszawski *Express Wieczorny* 5 stycznia 1979 w malutkim doniesieniu podaje:

„Do redakcji popularnej krakowskiej popołudniówki *Echo Krakowa* zgłosiła 4 bm. się pani dr K.N., która zrelacjonowała, że w środę zaobserwowała zjawisko bardzo zbliżone do UFO.

Świecąca czerwonym światłem kula o średnicy 1 metra pojawiła się w okolicy placu Targowego... W czasie obserwacji, czynionej ze swym synem, zauważyła anomalie w pracy silnika samochodowego...”

Wiść o tym zdarzeniu wywołała wówczas w Krakowie spore zainteresowanie. Okazało się, że zanim widziano tę kulę, silnik samochodowy pozornie bez powodu, zaczął się krztusić, przerywać aż wreszcie przestał pracować i wówczas to, w nagłej ciszy, która zapadła w samochodzie pasażerowie jego zobaczyli to dziwo, przesuwające się po niebie, torem pozornie schodzącym ku horyzontowi. Nie wyglądało to na bolid czy meteor, choćby z uwagi na rozpiętość zjawiska. Samochód w tym momencie był w pobliżu wiaduktu kolejowego przy ul. Grzegórzeckiej. Pozorna wysokość pojawienia się kuli to 150 metrów nad ziemią.

Na pierwszy rzut oka opis dość dokładny. Dla potrzeb prasowych i ku zainteresowaniu czytelników dziwnym zdarzeniem – wystarczający. Nie było jednak jeszcze wówczas wypracowanych metod prowadzenia takich obserwacji, trudno zresztą żądać by przypadkowi świadkowie mogli je znać.

W powyższej relacji i tak jest dość dużo szczegółów, które ufologowi teraz dostarczają istotnych danych. Zwróćmy na nie uwagę: najważniejszym było stwierdzenie przerywania i zatrzymania pracy silnika. Gdy samochód był pod wiaduktem kolejowym, osłonięty konstrukcją betonową, nasypem ziemnym i żelaznymi szynami od góry – silnik tylko krztusił się i przerywał. Odmówił posłuszeństwa całkowicie gdy samochód znalazł się poza wiaduktem. Tu nasuwa się pierwsze istotne spostrzeżenie: nieznany obiekt, będąc stosunkowo niedaleko, emitował jakieś zakłócenie, które nie przebiło jednak warstwy betonu, ziemi i szyn, ponieważ jednak samochód znalazł się pod wiaduktem otwartym z obu stron, po linii przejazdu, to nieznane „pole” oddziaływało tylko częściowo, aż do momentu, gdy samochód wyjechał z pod osłaniającego go wiaduktu. Wówczas silnik zgasł...

Według wszelkiego prawdopodobieństwa mogło to być dość silne pole magnetyczne lub elektryczne. Wykrywa się je w wielu innych podobnych incydentach. Szkoda jednak, iż ta pani nie opisała swoich i syna odczuć psychosomatycznych, gdyż one właśnie są jakby sprawdzianem rodzaju emisji otaczającej obiekt. Ciekawe czy czuli oni na przykład „mrowienie po twarzy”, szczypanie w kącikach ust i oczu, uczucie jakby włosy stawały dęba (nawet pod nakryciem głowy), uczucie irracjonalnego wewnętrznego niepokoju ale nie strachu. Czasami przy dużym zbliżeniu się do źródła (UFO) mogą wystąpić w ostrej formie: kołatanie serca aż do omdlenia, silny ból głowy, „iskwienie wewnątrz oczu”, powodujące zaburzenia widzenia.

Opisane tu przypadłości to efekty zbliżenia się do bardzo silnego pola otaczającego UFO. Zdarzyło mi się również przeżywać podobne... stąd wiem jak się takie efekty odbiera.

Jeżeli jeszcze do tych zaburzeń powodowanych przez UFO dołączą się zakłócenia pola grawitacyjnego, to świadek może z przerażeniem ujrzeć, że w jego pobliżu unoszą się wzwyż, bez

pozornie żadnego powodu małe i większe przedmioty materialne, a bywa, że i on sam... Natomiast tam, gdzie powstają takie anomalie, zdarza się, że człowiek zachowuje się jak pijany mimo, że nie miał w ustach kropli alkoholu: zatacza się, chwieje, nie może utrzymać pozycji pionowej, wydaje mu się nagle, że świat się kręci. Powodem tego są oddziaływania zmienionego lokalnie ale słabego pola grawitacyjnego na jego błędnik i zmysł równowagi. Zdarza się – w prawdzie bardzo rzadko – że świadek, koło którego nagle pojawi się UFO, wpada w pozorną nieważkość, nie wie gdzie jest dół – gdzie góra i... nagle sam zaczyna lewitować.

Anomalia grawitacyjna może spowodować też niezwykle efekty fizjologiczne. Zdarzyło się w mojej praktyce badacza terenowego, że 14 października 1981 roku u moich drzwi wejściowych rozległ się alarmujący dźwięk dzwonka. Po chwili wpadło kilku rozgorączkowanych młodych ludzi, a wśród nich dwunastoletni Tomek, syn moich bliskich sąsiadów. Zataczał się on jak pijany z błędnymi oczyma i przeraził mnie wygląd jego twarzy: z ust wydobywała mu się piana, jak u wściekłego psa.

Tomek „pocieszył się” znacznie, wypiwszy duszkiem, jedna po drugiej, dwie butelki Coca-Coli, stojące akurat na stole. Cóż się okazało? Postanowił on iść do ogródka działkowego swoich rodziców, znajdującego się o kilometr od ich domu, by tam uciąć sobie jedną dynię. Miał zamiar wybrać z niej pestki do jedzenia. Jak pomyślał, tak i wykonał. Nie miał klucza do furtki, przelazł więc z trudem górą przez ogrodzenie z siatki. U nich na działce brak było jakiegś altany do przechowywania narzędzi, był tylko daszek zrobiony z desek ustawionych dwuspadowo nad wykopanym rowem i przykryty z wierzchu ziemią i darnią. Tworzył rodzaj mocnej „psiej budy” takich rozmiarów, że od biedy mogło się tam zmieścić dziecko. Tomek kucnął tyłem do otworu „wejściowego” tej budy. Tuż obok rosła dorodna dynia. Gdy chłopiec zajęty był obcinaniem grubej łodygi przy pomocy tępego scyzoryka i nie zwracał uwagi na otoczenie – nagle z góry padł na niego cień.

Dzień był wówczas pogodny, niebo prawie bezchmurne i godzina dziesiąta rano. Zdziwiony chłopak w pierwszej chwili pomyślał, że to może jego ojciec przyszedł za nim, ale zerknąwszy ujrzał obok siebie... dwie wysokie teleskopowate i srebrzyste nogi, które już dotykały ziemi przed nim, z jego lewej i z prawej strony, natomiast nad nim zasłaniało mu słońce dno jakiegoś okrągłego, dyskoidalnego obiektu, który dosłownie lądował wprost na niego.

Reakcja chłopca była niespodziewana, nawet dla niego samego... Wcisnął się tyłem pod ten daszek, podnosząc go swoimi plecami do góry. W chwilę później w przerażeniu wypadł na zewnątrz i w tym właśnie momencie UFO gwałtownie odskoczyło w górę, chowając swoje teleskopowe nogi. Tomek zaś, po wydostaniu się z pod tego „daszka”, przebiegł przez całą działkę na odległość około dziesięciu metrów w stronę płotu i tam z rozpędu przeskoczył dwumetrowy płot, opadając bezwładnie na ziemię... na szczęście nie robiąc sobie krzywdy. Zaraz też, ciągle będąc w szoku, pobił wszystkie rekordy prędkości pędząc w stronę domu. Tu przechwycili go koledzy i jego starszy brat, prowadząc go do mnie, gdyż wiedzieli, że zajmuję się podobnymi sprawami.

Zjawisko lewitacji, związane z utratą ciężenia, jak widać działa nawet do kilkunastu sekund po oddaleniu się UFO. Inaczej nie byłoby możliwym podniesienie plecami daszka wagi ponad trzystu kilogramów (przy normalnej wartości pola grawitacyjnego), przeskoczenie dwumetrowej przeszkody i to nie tak, jak robią to sportowcy, skoczkowie wzwyż, ale po prostu biegiem, zwyczajnie w pozycji wyprostowanej odbijając się od ziemi. Piana na ustach chłopca pojawiła się też prawdopodobnie za sprawą chwilowego zaniku pola grawitacyjnego w miejscu, w którym UFO siadało na ziemi. Tu brakowi ciężenia mogły ulec soki żołądkowe w jego ciele. Wydostały się one na zewnątrz pod postacią piany.

Chłopiec zeznał, że był głodny przed wyprawą po dynię. Miał zatem pusty żołądek, wypełniony tylko sokiem żołądkowym, który wydzielał się już w oczekiwaniu na smaczne pestki z dyni.

– Co cię skłoniło do pójścia na działkę po tę dynię? – pytałem go.

Wyjaśnił, że rodzice poszli do pracy, on wrócił wcześniej ze szkoły i w domu nie znalazł niczego do jedzenia. Potwierdził, że był po prostu głodny.

Rozpoczynając ustalenia związane z tym przypadkiem nasunęło się pierwsze spostrzeżenie: obiekt był w pełni materialny, gdyż rzucił cień na chłopca.

Takie drobne, zdawałoby się spostrzeżenia, na które nie zwraca się w pierwszej rozmowie ze świadkiem, bo Tomek do pierwszych słów jego relacji, już nim został i tak tylko był nadal traktowany – są bardzo istotne, gdyż z miejsca wyjaśniają, że „świadek” zetknął się nie ze zjawiskiem świetlnym, samym obrazem UFO, halucynacją czy przywidzeniem, jako że żadne z tych odczuć psychicznych nie rzuca przecież cienia na ziemię...

Okres, gdy pojawiło się to UFO, które tak nastraszyło chłopaka, nie był odpowiedni do podejmowania jakichś prac, zmierzających do pełnej rejestracji ani nagłośnienia tego zdarzenia. To był czas niepokojów społecznych, demonstracji, a w kilka tygodni później mieliśmy już stan wojenny.

W sklepach, nie tylko spożywczych, były pustki. Również takie prozaiczne rzeczy jak filmy małoobrazkowe, były wówczas prawie nie do zdobycia. Miałem wówczas w aparacie fotograficznym tylko polski film Foton HL-27-DL, w owym czasie zresztą najczulszy do zdjęć na światło dzienne. Natychmiast więc, po wyjściu tych młodocianych świadków, zatelefonowałem do znajomego fizyka, pana M. Grossa, o którym wiedziałem, że jako zapalenioc fotografiki z pewnością będzie mieć coś lepszego w aparacie. Okazało się, że i on goni resztkami. Przyszedł jednak, przynosząc aparat o formacie filmu 6x6 cm, z włożoną zupełnie niezwykłą błoną filmową. Była ona o czułości 2-3 DIN, specjalnie przystosowana do chwywania najmniejszych długości fal światła, a więc w paśmie barw od niebieskiej, fioletowej, ultrafioletu... aż do promieniowania gamma. Prawdę mówiąc byłem zadowolony, że chce użyć tak cennego na owe czasy filmu do rejestracji tego incydentu.

Około godziny szesnastej udaliśmy się więc na tę działkę by sfotografować miejsce tego dziwnego zdarzenia. Fizyk wykonał trzy zdjęcia z ośmiozdjęciowej rolki, ja zużyłem cały film, pełne 36 klatek.

Po dwóch godzinach, po pracach w ciemni, mieliśmy wywołane oba filmy... i tu zaskoczenie: jego film, uczulony na małe długości fali świetlnej, chwyający nawet promieniowanie rentgenowskie i gamma, na tych trzech użytych klatkach był spalony na czarno ale pozostałe, nie naświetlone klatki, pozostające w kasecie – również zaczernione, jakby były silnie naświetlone.

Cały mój 36-klatkowy film najwyższej czułości 27 DIN pozostał nie naświetlony, co było wówczas dla mnie kompletnym zaskoczeniem.

Jak to się stało? Jak to możliwe, że widzieliśmy wzrokowo normalny krajobraz i niczego dziwnego w tym miejscu. Nie było żadnych widzialnych efektów. Po UFO pozostał na półdzikiej działce tylko rozwiany kolisty krąg o średnicy około ośmiu metrów, utworzony z wyłożonych ekscentrycznie wysokich chwastów.

Na jedną rzecz nie zwróciliśmy wówczas uwagi. Doszliśmy do tego dopiero po paru dniach, gdy starannie badaliśmy całą działkę. Zaglądałiśmy pod osiadnięty i na poły zwalony daszek, pokrywający schowek na narzędzia, który Tomek rozsadził sobą od środka. Leżało tam kilka zardzewiałych nieco łopat i grabi, ale w pierwszej chwili one nas nie zajęły. Dopiero nieco później, po paru dniach, jeden z naszych badaczy chciał spróbować czy i on też przy dużym wysiłku potrafiłby unieść na swych plecach te deski z ziemią, gdyby wszedł tyłem pod zadaszenie... Okazało się to niemożliwe – ten prowizoryczny dach ważył jednak ponad trzysta kilogramów. Chłopiec w momencie nagłego stresu wywołanego strachem musiał mieć nagły „zastrzyk” adrenaliny ze swych nadnerczy, która na krótką chwilę wyzwala nieprawdopodobną siłę mięśni. Do tego doszła zmniejszona siła ciężenia w anomalii pola grawitacyjnego.

Tu, aby zrobić miejsce na wciśnięcie się tam dorosłego mężczyzny – trzeba by było wpięrw usunąć te narzędzia ogrodnicze. Okazało się, że są one jak sklezione razem mimo, że minęło już parę dni od zdarzenia. Trzeba było użyć sporego wysiłku by rozerwać szczepione ze sobą żelazne zakończenia łopat, grabi i łopatek. Tu zadziałało silne pole magnetyczne – i co nas wówczas, przyznaję, nie zastanowiło – działało nadal. Pojawiło się ono w momencie kulminacji zjawiska, to jest przylotu UFO tuż nad chłopca lub później w momencie gwałtownego odlotu obiektu. Mieliśmy teraz już kilka elementów sprzęgniętych razem, które wystąpiły jednocześnie, a każde z osobna były nie do wyjaśnienia.

Podsumujmy je:

- a) silne pole magnetyczne,
- b) silna, krótkotrwała anomalia grawitacyjna,
- c) nieznanne promieniowanie, które silnie prześwietliło niskoczułą błonę filmową uczuloną na zakres UV, rentgenowskie i promienie gamma,
- d) jakieś inne, a może to samo co dla pkt.. „c” promieniowanie, nie naświetlające w ogóle wysokoczułego filmu 27 DIN.

Tomek zapytany, czy w momencie, gdy wyskoczył z tej ziemianki i został uniesiony w powietrze, zauważył coś dziwnego, choćby nawet może ten obiekt, odpowiedział:

„Wydało mi się, że przez ułamek sekundy widziałem obiekt o kształcie talerza, który przechylony odlatywał bardzo szybko w kierunku północno-wschodnim. Zdawało mi się, że w tym momencie padło na niego promieniowanie słoneczne i jak cały był srebrny to w tym słońcu zabłysnął różowo”.

Dość długo trwało ustalanie wielkości tego obiektu. Stosując metodę porównań wielkości obiektu widzianego przecież tylko przez krótką chwilę do rzeczy ogólnie znanych, doszliśmy w końcu do wniosku, że mógł mieć on z osiem metrów średnicy a grubości około trzech.

Rok 1981, w którym doszło do tej obserwacji, był bardzo obfity w zdarzenia ufologiczne w Polsce, a szczególnie w Warszawie. Wszystko zaczęło się od zdarzenia z 25 czerwca 1981 roku. Dochodziła wówczas godzina dwudziesta pierwsza z kilkanaście minutami, gdy wracając z miasta na podmiejską, południową dzielnicę stolicy o nazwie Czerniaków ujrzałem na niebie coś niespodziewanego.

Niebo zasnuwane było jednolitymi dziwnymi chmurami, wyglądającymi jak srebrzyste, nawet jakby lekko jarzyły się złotawą poświatą. Było to zaledwie kilka dni po wiosenno-letnim przesileniu i o tej porze było jeszcze zupełnie jasno. Dochodziłem do ulicy Bernardyńskiej, gdy na niebie w kierunku północnym, pojawiły się dwie kule malinowej barwy, wyglądające nieco nierealnie, gdyż wydawały się lekko przejrzyste, tylko z nieco bardziej nasyconym centralnym punktem wewnątrz każdego z nich. W pierwszej chwili wydały mi się racami na tle nieba, ale już po chwili nagle olśnienie! One stoją w miejscu, prawie się nie ruszając i tylko lekko drgając. Obudził się nawyk zwiadowcy – momentalnie wyszukałem wzrokiem najbliższy punkt odniesienia. Był nim wysoki 13 piętrowy dom na tej ulicy. Stojąc na chodniku o około pięćdziesiąt metrów od niego widziałem te obiekty pozornie na wysokości jego ósmego piętra.

Oczywistym jest, że obiekty nie były na wysokości równej ósmemu piętru, one były na przedłużeniu linii wiodącej od mojego oka poprzez „horyzont” na tej pozornej wysokości.

Szybkie spojrzenie na zegarek. Była godzina 21.11. Nie miałem przy sobie żadnych przyrządów obserwacyjnych, pozostawał mi tylko zegarek i własne oczy. Zapamiętałem też dokładnie miejsce, skąd po raz pierwszy ujrzałem te obiekty. Po dwóch minutach obiekt wyglądający na skrajny prawy, czyli patrząc na niego od południa ku północy, położony bardziej ku wschodowi, nagle ruszył wężykowatą poziomą linią. Po przebyciu niewielkiego dystansu stracił swoją malinową aureolę i ujrzałem podłużny, jakby srebrzysty cylinder, otoczony drgającą, ciemnobrązową linią, rozsiewającą na boki równie brązowe iskry, ale on po pół sekundzie znikł...

W parę sekund później to samo, w tej samej kolejności wykonał i drugi obiekt. Zerknięcie na zegarek pokazało czas: 21.13 i 30 sekund. A więc cały spektakl trwał około dwóch i pół minut.

Mieszkałem w pobliżu i już po paru minutach byłem w domu. Mając świeżo w pamięci obraz tego, co było na niebie, chciałem to jakoś potwierdzić. W momencie obserwacji tych obiektów na ulicy oprócz mnie nie było jak na złość ani żywej duszy. Teraz więc postanowiłem iść w tę stronę, skąd pojawiło się UFO i rozejrzeć się w terenie. Niestety, nie miałem wówczas żadnego sprzętu, który by pomógł w nocnej obserwacji, bo w międzyczasie zaczęło się już ściemniać. Wziąłem więc ze sobą tylko mały tranzystorowy aparat radiowy, raczej po to, by sącząc się z niego muzyka

dodawała mi nieco otuchy na odludnym i ciemniejącym polu, gdzie nie było żadnych latarni ani świateł i gdzie nie wiedziałem co może mnie spotkać ze strony UFO.

Gdy znalazłem się na skraju pola nieużytków, nad którym widziałem te obiekty, był już późny zmierzch... Minąwszy ostatni dom i przekroczywszy niewielki strumyk, pokryty betonowym mostkiem, wszedłem na pole. Ma ono około 150 hektarów powierzchni i wówczas na jego terenie oprócz poletek obsianych zbożem i kartoflami widniało tylko w odległości około pół kilometra niewielkie gospodarstwo, pozostałe tu jeszcze z okresu przedwojennego.

Od mostku w głąb pola wiedzie gliniasta ścieżka, obrośnięta z mojej prawej strony krzakami dzikiego bzu. Gdy wkraczałem na nią obejrzałem się i widziałem, że w oknach wielu domów za mną świeci się światło. Była przecież pora kolacji po upalnym i bardzo pogodnym, mimo zachmurzenia, dniu.

Mój aparacik grał jakąś melodię, ale gdy przeszedłem nie więcej niż trzydzieści metrów ścieżką, nagle zamilkł. Nie pomagało kręcenie gałkami – milczał jak zakłęty. Było to dziwne, przypomniałem sobie, że parę dni wcześniej założyłem do niego nowe baterie. Machinalnie szedłem powoli do przodu, ale zatrzymałem się pod wrażeniem, że wokoło zrobiła się głucha cisza...

Spojrzawszy w tył, ku miniętym przed chwilę domom – osłupiałem: tylko w paru oknach paliło się jeszcze światło, dziwnej żółto-brązowej barwy... a wokoło panowała głucha i bardzo ciemna noc.

Rad nie rad – zawróciłem z powrotem, tym bardziej, że droga po deszczu z przed paru dni była rozmiękła i błotnista. Wszedłszy na klatkę schodową zerknąłem na swój zegarek. Wskazywał godzinę 21.46.

To było prawdopodobne... Z domu wyszedłem parę minut przed 21.30, kilkanaście minut zajęła mi droga w obie strony, nie zatrzymywałem się na polu za mostkiem dłużej niż na kilkanaście sekund – no to zajęło to te kilkanaście minut – myślałem. Droga, przebyta w obie strony od domu – to łącznie tylko około czterystu metrów... Szybko wjechałem na swoje piętro. Teraz już jednak zliczałem czas, jaki mi zajmowały poszczególne czynności. Wjazd windą – zarejestrowała moja uwaga i zegarek jako „28 sekund”.

Drzwi otworzyłem kluczem; nie chcąc żonie przerywać kolacji, do której zabierała się gdy wychodziłem. Ale w mieszkaniu było ciemno. Lekko zaniepokojony sięgnąłem do kontaktu: może przepaliły się bezpieczniki? Ale nie, światło w przedpokoju zapaliło się normalnie.

Okazało się, że moja żona śpi już głębokim snem, a zegary...: doskonały zegar kwarcowy pokazuje godz.23.30, zaś nakręcany rosyjski budzik – 23.32...

...Znów zerknęcie na swój naręczny zegarek i zdziwienie: na nim jest dopiero godzina zaledwie 21.50.

Różnica czasu wynosiła aż jedną godzinę i 40 minut. Dokładnie 100 minut!

Postanowiłem jakoś rozszyfrować zagadkę tego, co się tej nocy zdarzyło. Rankiem więc następnego dnia, 26 czerwca 1981 roku, zatelefonowałem do II-go Programu TV opisując wszystko co widziałem na niebie poprzedniego dnia i proponując by nadali apel do widzów z zapytaniem o to, czy ktoś widział poprzedniej nocy coś dziwnego na niebie. Jeśli zaś tak – by dzwonił do mnie – i tu nieopatrznie podałem numer swojego telefonu. Przez pełną dobę telefon dzwonił prawie co minutę. Oczywiście było sporo „dowcipnisiów” jak i dużo fałszywych „obserwacji”. Tych jednak szybko odsadzałem, gdyż sam będąc „świadkiem” wiedziałem o co i jak pytać. Weryfikacja prawdziwych opisów trwała dość długo, tak że dopiero w połowie lipca wiedziałem już co i jak się wydarzyło.

A oto przebieg wydarzenia, z którego jak się okazało widziałem tylko niewielką, końcową część. Około godziny 21.02-21.05 nad Wisłą, na wysokości 1300 metrów nad lustrem wody pojawiła się kula malinowego koloru średnicy około trzydziestu metrów. To nie był jednak obiekt wyglądający na solidny, utworzony z twardej materii lecz tylko kula światła. Drgając utrzymywała się na tej wysokości przez parę minut i znikła jak zdmuchnięta. Po krótkiej chwili w tym samym miejscu pokazały się d w i e identyczne kule poziomo obok siebie.

Tu – około godziny 21.08-21.09 od zachodu, czyli od strony miasta nadleciał mały samolot

sportowy „Wilga”, zdążający do lotniska sportowego na Gocławku po drugiej, praskiej stronie Wisły. Leciał nad Wisłą na pułapie 1300 metrów. Pilot później twierdził, że miał te kule po swojej lewej burcie na tej samej co i on wysokości. Przeleciał obok nich w oddaleniu około pół kilometra. Kule unosiły się nad wodą nieco na południe od mostu Łazienkowskiego. Tuż po przelocie samolotu obie kule naraz ruszyły na południe, w stronę Górki Czerniakowskiej.

Jest to kopiec wysokości 77 metrów usypany na początku lat pięćdziesiątych z gruzów starego miasta i getta. Obecnie, od 1996 roku wznosi się na niej pomnik Polski Walczącej. Ale wówczas był to tylko płaski szczyt na dzikim, porośniętym krzakami wzgórzu.

Oba UFO leciały torem lekko obniżającym się i dolatując do tej góry wykonały półkolisty skręt, obie naraz ominęły górkę i poleciały dalej w swoją drogę, schodząc coraz niżej nad ziemię. Doleciały tak do miejsca, które usytuowane było nad polem 150-hektarowym, położonym pomiędzy tą górką a ulicą Bernardyńską na Czerniakowie. Od miejsca zawisu w pobliżu Mostu Łazienkowskiego do miejsca powtórnego zatrzymania się w powietrzu nad tym polem, dwa UFO przebyły trasę długości 1800 metrów. Od tego momentu dopiero ja sam stałem się świadkiem...

Nie dawała mi spokoju myśl – co działo się pomiędzy momentem mojego wyjścia z domu, a powrotem do niego, w okresie tych zgubionych stu minut? Mam wrażenie, że ani na moment nie traciłem świadomości – a tu masz! Uciekło mi „z życia” całe 100 minut.

Po moim apelu telewizyjnym mimo wszystko zaczęły napływać również prawdziwe zeznania naocznych świadków. Pomysł z tym apelem nie był w końcu taki zły, skoro łącznie ze mną złożyło zeznania – o całkowicie potwierdzonej autentyczności i potwierdzające się wzajemnie – aż dwudziestu ośmiu naocznych świadków. Był to pierwszy – i jak dotąd jedyny przypadek w Polsce, by udało się odnaleźć aż tyle osób chętnych do złożenia relacji.

W dniu 28 czerwca 1981 r., następnego dnia po tym telewizyjnym wezwaniu do świadków, do rejonu mojej obserwacji przyjechała ekipa filmowa drugiego programu TVP i nakręcony został kilkuminutowy reportaż z miejsca mojej obserwacji. Wiedząc wcześniej o mających przybyć reporterach telewizyjnych zdążyłem ściągnąć na to miejsce jeszcze trzy osoby, naocznych świadków. Powstała wówczas pierwsza w naszym kraju relacja „na żywo” ze świadkami, którzy widzieli UFO. Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych gdy na II programie TVP miał iść po południu jakiś interesujący mnie film, akurat musiałem wyjść w jakiejś ważnej sprawie, zaprogramowałem więc sobie ten czas w swoim magnetowidzie, by film nagrał mi się automatycznie. Wracając wieczorem do domu spotykałem się z gratulacjami sąsiadów, mówiących „widziałem – widziałam pana dzisiaj w telewizji...”. Byłem zupełnie zaskoczony, no bo owszem, czasami coś mówiłem o UFO w telewizji, ale nie akurat tego dnia!

Cóż się okazało? Spodziewany film w TV nie poszedł z jakichś technicznych względów, zamiast tego puszczono jakiś program o UFO i jako dodatek ten właśnie reportaż z 1981 roku, a mój magnetowid o tej porze posłusznie wgrał mi go na kasetę...

W ten prosty sposób mam autentyczny reportaż na taśmie video z czasów, gdy u nas nikomu się jeszcze nie śniło ani o video ani o posiadaniu automatycznie pracujących magnetowidów. Reportaż wykonany był na filmie czarno-białym 16 mm, co podwyższa jego wartość jako dokumentu, gdyż do reporterskich materiałów w TV nie przywiązuje się na ogół większej wagi i nie archiwizuje się ich. Do mojego zbioru przybył wręcz arcyrzadki dokument, będący jednocześnie dodatkowym materiałem dotyczącym tego incydentu. Kilku świadków zgłosiło się z mojej najbliższej okolicy. Jeden z nich, pan Marcin Jeziński nie tylko widział to samo co i ja ale tak zapalił się do podobnych obserwacji, że jest obecnie jednym z warszawskich ufologów i poszczycić się może kilkoma własnymi obserwacjami i zdjęciami, własnoręcznie i własnym sprzętem fotografowanych UFO.

On sam jak i inni z okolicy bliskiej tego pola, na którym wydarzyła mi się ta anomalia czasu, zdziwieni byli czemu ja nie słyszałem piętnaście minut po godzinie dwudziestej trzeciej wieczorem, owego dnia 25 czerwca 1981 roku, niesamowitego koncertu wycia dwóch psów wilczurów, trzymanyh przez tego gospodarza, mającego walące się zabudowania starego gospodarstwa. Ten teren akurat znalazł się dosłownie pod miejscem, nad którym kolejno znikwały te dwa UFO. Nasze pomiary oparte o precyzyjnie przeprowadzone przesłuchania świadków mówiły, że UFO w tym momencie unosiły się zaledwie 240 metrów nad ziemią, a były ode mnie o 800 metrów w



poziomie...

Niestety, o tej godzinie nie posiadałem świadomości miejsca i czasu. Dla mnie to były te zagubione sto minut pomiędzy zamknięciem radia a zauważeniem, że z nagłą zapadła zupełna ciemność. Moja świadomość nie zauważyła, że minęło tyle czasu. Te nieszczęsne psy znalazły się w owej chwili w bardzo niewielkiej odległości od UFO, które dosłownie wisiały im nad głowami... a nie mogły uciec, gdyż były na łańcuchach. Pozostawało więc im tylko rozpaczliwe wycie...

Analizując te zdarzenia z przed lat kilkunastu zauważyliśmy zniemienną rzecz:

Poprzedniego dnia były „wianki”, puszczanie ich na Wisłę w wigilię św. Jana. Wiele osób, szczególnie mieszkających w pobliżu Wisły miało jeszcze pod ręką lornetki i za ich pomocą wykonano dużo obserwacji. Były również i obserwacje zupełnie niespodziewane – np. młodego astronoma-amatora, który swój skonstruowany własnoręcznie teleskop dający powiększenie 30-krotne skierował na końcową część zjawiska i widział dokładnie to samo co i ja... ale jakby z bardzo bliska. Nanosząc na plan miasta miejsca, skąd obserwowano te UFO, zorientowaliśmy się, że rozmieszczenie świadków w terenie było znaczne. Od dalekiego Ursynowa na południu, do Młocin i Henrykowa na północy, to znaczy w rozstępie około 30 km, podobnie wzdłuż linii wschód-zachód. Wiele osób obserwowało grupowo, całymi rodzinami, mimo, że zeznania przeważnie składała tylko jedna z nich.

Zniemiennym było, że wszyscy świadkowie zgłaszali się telefonicznie z własnych aparatów. Ponieważ w owym czasie tylko około 5 % mieszkańców posiadało w domu telefony – nasuwa się prosty wniosek, że znacznie więcej osób musiało widzieć te UFO. Być może, że nawet kilka tysięcy. Wiele z nich prawdopodobnie w ogóle nie zwróciło na to uwagi, inni może i byli zdziwieni tym co jest na niebie, ale też mogli nigdy nie słyszeć o UFO... Większość jednak po prostu obawiała się „śmieszności w oczach sąsiadów”.

A jaki tego efekt? Nikt, dosłownie nikt z tych, co złożyli zeznania, w tym także ci, którzy opowiadali o tym przed kamerami TV, nie miał z tego powodu żadnych przykrości od swoich sąsiadów czy innych osób.

Obserwacja dwóch UFO z 25 czerwca 1981 roku zwróciła uwagę nie tylko badaczy ale i osób, które je widziały na ten właśnie teren, zawarty w dolinie Wisły, a ściślej na leżący na południe od mostów śródmiejskich i dalej w górę rzeki. Zainteresowaliśmy się innymi podobnymi obserwacjami w zbliżonych terenach.

Materiałów krajowych, poza dość licznymi już wzmiankami prasowymi o pojawianiu się gdzieś „latających talerzy” było znikomo mało. Nie chodziło nam przecież o opisy pełne bombastycznych i pełnych grozy opisów „porwań przez ufoludy nie z tej ziemi”, bo w takim tonie bywały niekiedy redagowane te bzdury płodzone przez pożałuj Boże dziennikarzy, wszędzie węszących jedynie sensację, na której robi się forszę, lecz o spostrzeżenia mogące mieć wartość przy bliższym poznawaniu tajemnic UFO. Zrozumiałym było, że prawie nikt z obserwujących te zdarzenia nie wie, bo i nie może jeszcze wiedzieć, na jakie elementy zdarzenia należy zwracać baczną uwagę.

Wychodzimy z założenia, że „żadne zdarzenie zachodzące w przyrodzie i rejestrowane przez naszą świadomość nie może być sprzeczne ani z prawami fizyki, ani z podstawowymi cechami ludzkiej psychiki i opisującej ją psychologią”. Zatem: wszystko co nieznanne i nierozpoznawalne przy obecnym stanie wiedzy leży przed nami. Żeby jednak mieć co badać – trzeba zbierać materiał i uporządkowywać go według pewnych kryteriów.

W wielu artykułach prasowych zarówno drukowanych dwadzieścia-trzydzieści lat temu, na pierwszy plan wyciągana jest wątpliwość, czy aby świadek opowiadający o zobaczeniu UFO, nie jest chory psychicznie, czy nie pije zbyt dużo? Czy jest pełnoletni, a może był karany? Dawniej również zwracano uwagę na to jakie jest jego pochodzenie społeczne i nastawienie polityczne?

Tak było dawniej, a dla wielu uważających się za ufologów i nadal tak jest.

Wybaczcie mi drodzy Czytelnicy, nawet dla prawa i dochodzeń policyjnych świadek jest wówczas wiarygodny, gdy można innymi ustaleniami, poza jego zeznaniem sprawdzić „czy i na ile mówi obiektywną prawdę”. Dlatego też dla ustalenia wiarygodności zdarzenia, trzeba czasami brać pod uwagę zarówno opisy osób dorosłych, zrównoważonych i trzeźwych jak też – w sporadycznych

przypadkach i relacje dzieci, szczególnie wówczas gdy duża ich grupa widziała całość lub część rozbudowanego zdarzenia. Niejako klasycznym takim przypadkiem jest lądowanie UFO w Ruwa w Płd. Afryce 15 września 1994 roku, gdzie oprócz kilku osób dorosłych obserwowano to sześćdziesiąt dwoje dzieci jednocześnie. Ciekawym było tam, i dla ufologa i psychologa, że niekiedy dzieci stojące tuż obok siebie, a zdarzenie miało miejsce w biały dzień, widziały coś zupełnie innego, inaczej opisywały zarówno sam obiekt, kolor jego błyszczącej powierzchni, jak też istoty, które się przy nim pojawiły.

Nikt jednak tym dzieciom nie zarzucał mówienia nieprawdy, o co byłoby łatwo u nas, gdzie większość nastawionych sceptycznie osób już w samym założeniu węszy wszędzie nieprawdę i chęć „nabrania naiwnych”.

Mam już ponad trzydziestoletnią praktykę w prowadzeniu ustaleń w miejscach pojawiania się UFO, a biorąc pod uwagę sporadyczne zdarzenie opisane zamiast przedmowy, to już nawet ponad pół wieku trwające kontakty z tymi zdarzeniami. Po tylu latach wyrobiłem sobie swój własny stosunek i do UFO jako takiego i do metod dochodzenia do prawdy, lub przynajmniej do tego, co nasza świadomość za taką uznaje. Wiele osób docierających do mnie i opowiadających mi o tym co widziały własnymi oczyma, z czym stykało się, często niejednokrotnie jest tak zafascynowanych własnymi przeżyciami i swoimi odczuciami psychicznymi, że chce je narzucać i innym, uważając iż i oni powinni mieć jeśli nie takie same, to co najmniej zbliżone emocje.

Zdarza się, że tego rodzaju osoby zdolne są nawet do szczegółowego i wręcz doskonałego relacjonowania swoich obserwacji, natomiast gdy prosi się je o wypełnienie i podpisanie tego samego zeznania, ale na piśmie, na specjalnym kwestionariuszu, służącym przede wszystkim wyłapaniu tych elementów, na które świadek nie zwrócił uwagi – osoby te wzbraniają się, płaczą to co już powiedziały z tym, co opisują teraz i najczęściej nie zgadzają się podpisać swym imieniem, nazwiskiem i adresem tego, co z takim zapałem relacjonowały – ale tylko ustnie. Może według starorzymskiej prawniczej zasady „Verba volant, scripta manent”? (Słowa ulatują, dokumenty pozostają).

W zapisie oświadczeń grają rolę nie tylko wypełniane kwestionariusze. Czasem także nowoczesniejsze środki do rejestracji i przechowywania dźwięków, takie jak magnetofon, dyktafon reporterski czy kamera video. Nigdy jednak nie wykorzystujemy ich bez wiedzy i zgody osób biorących udział w nagraniu jako „świadkowie”.

Wiele też osób, świadków, czuje się wręcz urażonych, gdy są nie dopuszczane do dalszych ustaleń w kontekście opisywanego przez nie incydentu. Często nie potrafią zrozumieć, że ich relacje muszą zostać sprawdzane w obiektywnych warunkach, właśnie bez ich obecności i dawania własnych, nie zawsze bezstronnych uwag.

Zdarzają się też przypadki, gdy relacje świadków, opisy jakichś takich samych momentów zdarzenia – różnią się znacznie między sobą. Takie też „zeznania” zdarzyły się dwóm cenionym przeze mnie początkującym wówczas badaczom, p. Marcinowi Jezierskiemu i Jackowi S.

Miało to miejsce 15 września 1981 roku, a więc tego samego co przylot dwóch UFO nad stolicę. O dziwo, może wskutek jakiejś powtarzającej się prawidłowości, powstającej z nieznanых wówczas przyczyn – UFO pojawiło się również nad rzeką Wisłą, tym razem nieco dalej na południe niż 25 czerwca 1981 r. Dopiero w kilka lat później zorientowaliśmy się, że jednym z optymalnych terenów pod względem geofizycznym i stratygraficznym jest właśnie dolina dużej rzeki, gdzie na jednym brzegu ciągną się piaszczyste plaże a drugi brzeg tworzy skarpe, będącą w gruncie rzeczy granicą uskoku geologicznego.

„Stałem na przystanku autobusowym po warszawskiej stronie Mostu Łazienkowskiego, gdy nieco na południe ode mnie, nieco w prawo (czyli ku wschodowi) od Elektrociepłowni „Siekierki” na niebie, niezbyt wysoko nad wodą rzeki zabłysło dziwne światło: było wielkości „dużej żarówki” i migotało dwoma barwami światła: pomarańczową i ostro-ciemno – niebieską. To było tak fascynujące, że długą chwilę wpatrywałem się w to aż mnie oczy bolały od tego blasku. Według mnie to mogło być jakieś trzy kilometry na południe ode mnie” – tak relacjonował Jacek S. Marcin Jezierski w tym samym momencie jechał pociągiem podmiejskim od strony praskiej, czyli z lewobrzeżnej Warszawy. Pociąg pokonywał właśnie środkowy odcinek mostu kolejowego,

położonego obok Mostu Poniatowskiego, usytuowanego nieco dalej na północ od Mostu Łazienkowskiego. „Na niebie, nad elektrociepłownią stała „żarówka” o oślepiającej barwie blasku. Stała lekko kołysząc się i nie migotała. Obserwowałem ją, aż znikło mi to z oczu, gdy pociąg którym jechałem, wjechał na warszawski brzeg i domy mi to zasłoniły” – tak z kolei mówił pan Jezierski.

Który z nich nie mówił prawdy? Żaden? A może obaj widzieli to samo tylko inaczej?

Prawa fizyki, a w niej i optyki są niezienne, bez względu czy będą to znane nauce incydenty, czy też coś tak dziwnego jak UFO.

Rzecz w tym, obaj mówili prawdę. Jacek miał wówczas trochę ponad 18 lat i bardzo dobry wzrok. Pan Marcin natomiast był o piętnaście lat starszy i jego zmysł wzroku miał inną wartość. System receptorów wzroku w mózgu Jacka wychwytywał poszczególne błyski w dwóch barwach: pomarańczowej i ciemnoniebieskiej, ale dzięki temu, że jego organizm był młodszy a wzrok sprawniejszy – widział poszczególne, bardzo szybkie błyski.

Drugi z obserwatorów, Marcin, widział to samo, ale jego zdolność zauważania i rozróżniania poszczególnych błysków była nieco inna: jego świadomość sumowała te poszczególne błyski światła w dwóch barwach, dając wynikową barwę białą. Tak to bowiem jest w prawach optyki, że tak naprawdę światło białe składa się z kilku innych podstawowych. A tu dwie barwy: pomarańczowa i ciemno-niebieska zsumowały się i dały wrażenie białego światła... Obaj mówili prawdę, chociaż pozornie jeden z nich „mijał się z nią”.

Tu dochodzimy do pewnych wniosków. Okazuje się, że to co widzi wzrok ludzki, nie zawsze jest obiektywne, a w każdym razie inna grupa, innych osób może widzieć „to samo, ale inaczej”.

Jeden ze świadków, wiarygodny i sprawdzony p. Tadeusz X. z warszawskiego Ursynowa w dniu 25 czerwca był jednym z dwudziestu siedmiu świadków przesłuchiwanym przeze mnie. Sam wówczas byłem „częściowym, 28-mym”. Opowiadał, że tego dnia wieczorem około godziny dwudziestej pierwszej był na spacerze z matką i ojcem. Nagle na niebie, daleko nad miastem, pojawiła się malinowa kula. Ursynów jest najdalej na południe wysuniętą dzielnicą Warszawy i do UFO od tego miejsca było około piętnastu kilometrów. We troje wpatrywali się jak zafascynowani w spektakl, który dały im te obiekty. Na początku jeden z nich, później dwa. Inni ludzie będący stojący tuż obok nich pytali, czy coś widzą. Okazywało się bowiem, że z kilkunastoosobowej grupy widział tylko p. Tadeusz i jego rodzice i jeszcze parę innych osób, natomiast kilka innych, mimo wpatrywania się w bezchmurne niebo, niczego nie widziało i... pukali się palcem w czoło...

Świadek ten, mający w 1981 roku 25 lat, tak zapalił się do obserwacji UFO, że przez dwa lata był jednym z bardzo aktywnych badaczy terenowych. Między innymi brał on udział w „wizji lokalnej”, wykonanej przez ufologów warszawskich i grupę filmową II-go programu TVP w Emilcinie w dniu 29 sierpnia 1981 roku. Miał jednak pecha. Jest jedynym znanym mi przypadkiem w naszym kraju ingerencji sił pozaludzkich, zakazujących mu prowadzenia działalności na tym polu. Czemu spotkało to akurat jego?

Szczerze mówiąc nie wiem. On sam wyczuwał, iż od pierwszych jego poczynań na polu ufologii „ktoś” czy „coś” rzuca mu kłody pod nogi. Przeszkadza, sprowadza jego poczynania na manowce. Jakiś miesiąc po tej zbiorowej obserwacji, Tadeusz wraz z rodzicami byli w swoim mieszkaniu. Położył się nieco zmęczony na tapczanie w jednym z pokoi, gdzie drzwi do drugiego pomieszczenia były otwarte. Tam, w pobliżu odbiornika telewizyjnego, siedzieli jego ojciec i matka. Wówczas w 1981 roku telewizja kolorowa nie była tak powszechna jak obecnie i posiadanie przez nich kolorowego telewizora marki Sony było swoistym ewenementem. Rodzice wpatrzyli w ekran, na którym akurat szedł jakiś zajmujący film, nie zauważyli, że w drzwiach wiodących do pokoju ich syna stanęła nagle, jakby przychodząca z nicości, postać mężczyzny w czarnym kombinezonie przechodzącym w równie czarny kaptur. Stanął on przodem do osłupiałego Tadeusza i wówczas widać było, że jest bez twarzy. Zamiast niej miał ziejącą czarną pustkę. Postać wzięła Tadeusza za prawą dłoń i przeciągnęła po jego otwartej dłoni swoją dłonią... pozostał po niej szybko znikający rozmazany krwawy ślad...

W tym momencie ojciec Tadeusza zobaczył, że telewizor wariuje. Przez ekran przelatowały kolorowe ukośne pasy, a dźwięk nagle zniknął. Ojciec obrócił więc głowę w stronę drzwi do pokoju

syna by wezwać go na pomoc w regulowaniu odbiornika i wówczas i on, i siedząca obok matka, zobaczyli stojącego do nich tyłem tego nieproszonego gościa. Na głośny nieartykułowany krzyk kobiety postać zareagowała znikaniem. Ale nie natychmiastowym, a jakby w zwolnionym tempie. Po 1-2 sekundach już jej nie było. Tadeusz opowiedział mi to już następnego dnia. Ostrzegałem go, że to był prawdopodobnie „Man in Black”, i żeby raczej odsunął się od dalszych badań UFO. Ale on śmiał się z tego.

Aż przyszedł dziwny dzień sierpniowy w 1983 roku.

Jechał on swoim „maluchem”, Fiatem 126p pustą ulicą Idzikowskiego na Czerniakowie. Teraz jest ona po jednej stronie zabudowana nowym osiedlem mieszkaniowym, ale wówczas było to pustkowie.

Obecnie po drugiej stronie ulicy ciągnie się pas zieleni a za nią równoległe do ulicy półkilometrowej długości pozostałość fortecznej fosy, napełnionej wodą, zwana „Bernardyńską Wodą”. Wówczas jednak w 1983 roku tego osiedla jeszcze nie było i jadąc tamtędy miał doskonałą widoczność po obu stronach jazdy swego samochodu.

Dojeżdżał do skrzyżowania z Aleją Sobieskiego, która w owym roku w tym miejscu biegła na tym odcinku przez pusty teren. Rozejrzał się w prawo – w lewo i w promieniu ponad pół kilometra nie widział nie tylko żadnego pojazdu, ale nawet żadnego człowieka, oprócz małego parterowego domku o sto-kilkadziesiąt metrów. Nie zmniejszając prędkości jazdy, co powinien był uczynić, zjeżdżając z trasy „podporządkowanej” na „główną”, dojeżdżał już jadąc z prędkością 80 km/godz. do skrzyżowania, gdy nagle... stało się straszne uderzenie... w pustą przestrzeń i on sam wyleciał przez nagle rozpęknięty dach – wielkim łukiem w powietrze, padając o kilkanaście metrów dalej. Na szczęście na trawnik, tak że tylko mocno się potłukł. Natomiast jego samochodzik dosłownie rozsypał się na drobne kawałki. Oderwane koła leżały po o b u stronach jezdni, a na niej pozostał tylko tak pogięty wrak karoserii, jakby miał czołowe zderzenie z pojazdem pędzącym setki kilometrów na godzinę.

Tadzio siedział zupełnie ogłupiały na trawniku, gdy nadjechała karetka pogotowia i kilka radiowozów. Widać ktoś z tego małego domku widział to i zawiadomił je.

„Panie!” – Trząśł Tadzia za ramię milicjant. – „Z czym się pan zderzył? Tak „skasowanego malucha” jeszcze nigdy nie widziałem” – milicjant nie mógł wyjść ze zdumienia.

Rzeczywiście. Na asfalcie jezdni b r a k było śladów opon innego samochodu oprócz tego małego Fiata, brak śladów hamowania na asfalcie i wreszcie brak jakichkolwiek szczątków, choćby pobitych szyb tego drugiego, z którym Tadeusz rzekomo „zderzył się...”.

Naoczny świadek z tego małego domku, który widział tę katastrofę na jezdni mówił, że posłyszał huk jakby silnego wybuchu i jednocześnie mały samochód, który bez powodu rozleciał się w kawałki... jakby od wewnętrznej eksplozji. Ale jej przecież też nie było!

Raport milicyjny był niejasny... Zderzył się? Z czym...? Może „z UFO?”

## Rozdział II

### Trochę statystyki

Tak to już jest, że każde badanie nieznanego problemu, zawsze zaczyna się od badań statystycznych. Dlaczegoż zatem dociekań w sprawie UFO nie rozpocząć tak samo?

Wiele klubów, klubików, grup zainteresowań zbiera, kolekcjonuje swoje własne obserwacje UFO, strzegąc ich pilnie jak własnego skarbu. To dobrze, że zbierają obserwacje. Gorzej natomiast, że nikt nie ma z tego żadnego pożytku. Ci ufolodzy mówią: „Przyjdzie czas, że się to przyda...”  
Komu?

Robię to samo... zbieram, kolekcjonuję wydarzenia. Ale pomimo zaawansowanego już wieku, staram się być jak najbardziej operatywnym i być tam, gdzie się coś wydarzyło możliwie jak najprędzej po zdarzeniu. Wiem, że ślady lubią szybko znikać, rozdeptywane czy czasem nawet

starannie niszczone przez ludzi. Wszelkie ślady niematerialnych oddziaływań również zanikają z upływem czasu. Niejednokrotnie ludzie pytają się mnie, czy nie obawiam się chodzić tam, gdzie czasami przed chwilą było coś dziwnego: może UFO a może nawet coś gorszego?

Nadmierna odwaga bywa czasami jednoznaczna z głupotą. Nie powiem, że bym się nie bał, ale wiem w jaki sposób zabezpieczyć się przed niebezpieczeństwami, które mogą zagrozić na przykład przy niespodziewanym spotkaniu z... gośćmi z UFO.

Wiadomo, że takie spotkania ludzi i ufonautów zdarzają się i są liczniejsze, niż się o nich słyszy. Jest jednakże znanym faktem, że większość pokojowych kontaktów ludzi i ich, tych „z innego świata”, następuje w drodze telepatycznej. Czemuż zatem nie wykorzystać tej możliwości, by idąc gdzieś, gdzie do takiego kontaktu może dojść – nie przesłać im mojego stosunku do nich i przesłania, że z mojej strony nic im nie zagraża?

Mniej tu jest nawet istotnym czy mogłoby dojść do jakiegoś rzeczywistego zagrożenia z mojej strony, gdyż oni z łatwością by takie zagrożenie odparli – tu liczy się intencja – a nie rzeczywiste działanie.

Bywają czasami i komiczne „odbicia” takiego stanowiska względem „gości z kosmosu”... Kiedyś występowałem w TV i na pytanie, jakbym zachował się, gdybym spotkał nagle na leśnej ścieżce ufonautę – odpowiedziałem:

– Oznaką przyjaźni nie jest zabieranie czegoś od kogoś, ale dawanie. Nie ważne czego, istotne natomiast by spotkany wyczuł, że jest to oznaka pokoju i przyjaznych a nie wrogich uczuć.

– Cóżby dał pan ufoludkowi, gdyby go pan nagle spotkał na przykład w lesie?

– Cokolwiek, ot! Choćby zegarek z własnej ręki... – to mówiąc zademonstrowałem przed kamerą zdejmowanie zegarka z przegubu w gest wręczania go komuś... – Ważne jest, by obdarowany wyczuł, iż jest to coś dla mnie cennego, co daję mu nie z przymusu, a z czystej przyjaźni...

Gdy następnego dnia wróciła moja żona z pracy, powiedziała, iż jej koleżanki „widziały wczoraj w telewizji, że jej mąż rozdaje zegarki ufoludkom!”

Mówiąc o telepatii nie zawsze wszyscy mówią o tym samym. Czym innym jest przekaz myśli od jednej osoby do drugiej niż telepatyczny „podgląd” czyjejś obecności i związanego z tym działania. Ten pierwszy sposób przesyłania sobie wzajemnie informacji jest o wiele częstszy niż się nam wydaje. Spotyka się go pomiędzy członkami rodziny, także między mężem i żoną, matką i dzieckiem, a nawet między panem i jego psem. W tym ostatnim przypadku kontakt przebiega jedynie na planie wyobrażenia a nie przekazu słownego.

Drugi sposób „telepatii” to jakby podbieranie innej osobie jej myśli bez jej wiedzy. Dlatego też jest bardzo istotnym, by idąc gdzieś „na spotkanie z UFO” nie mieć i nie tłamsić w sobie jakichś niechęci czy strachu w stosunku do niego i jego załogi. To zawsze się opłaci – jeżeli nie będzie w pobliżu żadnych „obcych bytów” – to nic nikomu nie zaszkodzi nasze przyjazne nastawienie... a może b a r d z o pomóc. Trudno jest bezapelacyjnie orzec gdzie, w jakiej okolicy mózgu, ulokowane są możliwości telepatyczne. Znam jeden przypadek, gdy świadek, kilkakrotnie zabierany do UFO na zapytanie w jaki sposób następował kontakt (z ufonautą) – odpowiedział bez namysłu: to był zwykły kontakt „z czoła”. Na zapytanie, czemu tak odpowiedział – spojrzął na mnie zaskoczony i odrzekł, że takie odniósł pierwsze wrażenie w momencie kontaktu, że miał uczucie, jakby w tym momencie czoło tego humanoida, który go spotkał, stało się aktywne, jakby coś z niego wypromieniowało. „To trudno określić” – mówił. „To tak, proszę mi wybaczyć” – tu zwrócił się do mnie w rozmowie – „jak mówienie do ślepego o kolorach. Jak, jakimi słowami mogę opowiedzieć coś, czego doznaję, ale na co człowiek nie posiada jakiegoś konkretnego organu, jakiegoś zmysłu?”

Wiem, zdaję sobie sprawę, że trudno przekazać innym jak to jest. Wiem o tym z własnego doświadczenia. Pod koniec roku 1998 miałem reporterskie spotkanie z pewną znaną w Warszawie bioterapeutką, również cieszącą się opinią jasnowidzącej. Nie będę wymieniać jej nazwiska, gdyż mnie do tego nie upoważniła, nie podam nawet ani daty, ani miejsca spotkania. Po dłuższej rozmowie z nią powiedziała nagle: „niech pan wstanie... proszę stać i patrzeć mi w oczy... ale tak dogłębnie, jakby pan chciał wejść mi do mózgu... proszę patrzeć mi w oczy... intensywnie”. To

mówiąc, sama stanęła naprzeciwko mnie o metr ode mnie.

Pomyślałem nieco rozbawiony: „Czekaj, zrobię ci kawał” i... wyobraziłem sobie jak najplastyczniej kolorowe zdjęcie znanego jogina i cudotwórcy indyjskiego Satya Sai Baby.

Minęło kilkanaście sekund i ta pani nagle cofnęła się krok do tyłu i nie panując nas sobą zdławionym głosem powiedziała cicho: „O rany... za panem stoi Sai Baba”. – Mówiąc to wytrzeszczyła oczy patrząc na kogoś, kto jakby stał za mną.

„Tak” – dopowiedziałem za nią. – „Stoi, jest w pomarańczowej szacie i trzyma prawą rękę uniesioną do góry, uśmiecha się do pani...”

„Taaak...” – powiedziała powoli, ciągle wpatrzona w niewidzialną postać niby stojącą za mną. – „Ale skąd pan to wie?” – Jakby ocknęła się z zapatrzenia. Teraz wyglądała na jeszcze bardziej zaskoczoną niż przed chwilą.

Wyjaśniłem jej co zrobiłem. Nie pogniewała się za mój „eksperyment”. Pogadaliśmy jeszcze trochę, wypiliśmy kawę i teraz ja z nagłą powiedziałem: „A teraz niech pani stanie i patrzy mi w oczy...” Pomyślałem przy tym, że teraz po raz drugi, znów „wytnę jej kawał”. Teraz wyobraziłem sobie tę samą osobę, Sai Babę, ale ze starego zdjęcia, wykonanego ponad dwadzieścia lat temu i nie barwnego a czarno białego...

Patrzała mi w oczy przez chwilę i pół-szeptem zaczęła: „On znów stoi za panem... patrzy się... ale jest taki jakiś „czarniawy”. (!)”

No cóż – w obu przypadkach bezbłędnie odebrała mój telepatyczny przekaz. A jaki z tego wniosek? Chyba to, że telepatia wcale nie jest trudna, o ile wykonuje się ją z pozytywną intencją, gdy sens i cel eksperymentu mają służyć wzajemnej korzyści ale nie fizycznej czy finansowej, a duchowej. Mam wrażenie, że być może telepatyczne kontakty pomiędzy człowiekiem a istotami „z innego świata” zachodzą przeważnie tak łatwo wówczas, gdy taki kontakt ma sens pozytywny i konstruktywny dla obu stron.

Mógłby ktoś zapytać: „a co ma do tego statystyka”?

No cóż, przypadków łączności tą metodą jest tak wiele w kontaktach z UFO i jego załogami, że warto może przyrzec się jak, kiedy i w jakich okolicznościach taki kontakt łatwo się pojawia.

Dziesiątego lutego 1982 roku pan K.J. z przedmieścia Warszawy wybierał się do centrum. Była wczesna godzina popołudniowa ale mróz tego dnia był solidny. Ubrał się więc w ciepły kożuch, wsiadł do taksówki i polecił kierowcy jechać do miasta. Niestety... to był jeden z kolejnych początkowych dni stanu wojennego. Trafił w śródmieściu na rozbestwiony pluton ZOMO obrzucający ludzi granatami z gazem łzawiącym, zrezygnował więc z wizyty w mieście, polecił taksówkarzowi zawrócić i wrócił skąd przybył. Wchodząc z zupełnie pustej ulicy w drzwi swego „wysokościowca”, odruchowo położył rękę na klamce drzwi wejściowych, a te zamiast otworzyć się na zewnątrz, uchyliły się bez oporu do środka, do wnętrza sieni. „Zawieszona na beztarciovych zawiasach” – posłyszał, jakby ktoś powiedział mu to wprost w mózgu... W pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na sens tego. Beztarciowe zawiasy! Dobre sobie! Czegoś takiego przecież jeszcze nikt nie skonstruował! „Szedłem i skierowałem się ku windzie”, tu oddaję mu głos:

„Normalnie klatka jej jest ciasnawa, najwyżej na sześć osób, tym razem jednak jakby rozszerzyła się... było ciasno... duszno, a ja stałem ściśnięty między jakimiś jakby nie ludźmi a cieniami ludzi. Normalnie na 10-te piętro wjeżdżam trzydzieści sekund... teraz jechałem kilka minut.

Nagle winda zatrzymała się... ściany jej jakby znikły, a ja... znalazłem się nagle na olbrzymiej sali bez granic... z podłogą z jasnego wypolerowanego kamienia i takim samym sufitem, unoszącym się gdzieś bardzo wysoko, ale zupełnie bez ścian.

Istoty, które tu ze mną przybyły w mgnieniu oka rozeszły się w oddali i zostałem sam.

Niezupełnie jednak sam. O kilka kroków ode mnie stała grupa niby ludzi. Wzrostu nawet nieco większego niż ja sam, szczupli, w jasnych pastelowej barwy piaskowych kombinezonach. Te ich ubrania wyglądały jakby były z jednego kawałka. Patrząc na nich z przodu, widziałem, że mieli niskie stojące kołnierzyki dookoła szyi i pionowe rozcięcia koszuli bez guzików, tak na jakieś 10 do

12 cm w dół”.

Słuchając tej relacji pana J. pomyślałem, że wielokrotnie, w zeznaniach wielu świadków powtarza się taki szczegół ich ubioru...

„...Ci z tej grupki, którzy stali twarzą ku mnie, zauważyli mnie. Jakby na bezgłośny rozkaz wszyscy czterej obrócili się ku mnie i zobaczyłem na ich twarzach wyraz takiego zdumienia, jakie bym chyba miał ja, gdybym ich zobaczył na ulicy! Posłyszałem w głowie pytanie z ich strony, ale to było takie bezosobowe, jakby nie od jednego a od wszystkich naraz: »Człowieku, skąd się tu wzięłeś?«

Byłem tak ogłupiały, że nie pamiętam, czy do nich mówiłem głosem, czy też tylko myślą... to nawet chyba nie była ubrana w słowa myśl, lecz jakby wyobrażenie tego, co mnie przed chwilą spotkało. Teraz nastąpiła dość chaotyczna wymiana myśli pomiędzy nimi a mną.

Pojałem z tego, że jestem na... sądzie galaktyki! Tu sądzi się tych, co naruszyli prawo kosmosu... ale nikogo się nie zabija ani nie więzi... podsądni mają tylko przez jakąś ilość »okresów« – tu pojęcie dla mnie nie było zrozumiałe... penetrować przestrzeń... dla dobra ogółu... Teraz tu padło z ich strony pytanie: »Człowieku, czy pękł ci kryształ czasochronu?«

W wirze chaotycznych »błysków« myśli jakie przewijały się po mojej głowie, pojałem mniej więcej sens, że w takim przypadku, temu co się to wydarza wypada on poza »zakrzywienie przestrzeni« i pojawia się nie w tym miejscu przestrzeni i czasu co powinien być... Przeraziłem się, bo ja nie miałem tego, o czym oni mi komunikowali. Poczulem z ich strony płynącą wesołość, oni wyraźnie się ze mnie nabijali!

– Uspokój się, jeżeli tylko przypadkiem znalazłeś się... – i tu pojęcia były jednocześnie różne: mogłem to pojąć jako »wir przestrzeni«, »zassany w tunel«, »błąd kierunku«, »zapętłony w czasie« – to wrócisz do swojego czasu, do swojego domu... – Tu jakby bieg czasu w stosunku do mnie zatrzymał się, ale mogłem odbierać od nich przekształcone moje myślowe zapytania.

Zorientowałem się, że pokazano mi model, jakbym to widział z oddali... konstelację gwiazdną... olbrzymią kulę rozpalonego gazu w barwie srebrzysto-niebieskiej, otoczoną krążącymi wokół niej jakby sztucznymi olbrzymimi satelitami. My byliśmy na czwartej »bazie«, na czwartym satelicie, krążącym wokół olbrzymiej gwiazdy, tak odebrałem to pojęcie – gdzie był ten »sąd«, a gwiazdę tę... »wy ludzie nazywacie Antares«.

To okropnie dziwne uczucie... być jednocześnie »tam« na czwartej bazie Antaresa i w tym samym momencie samą czystą świadomością w beczasowej pustce kosmosu i widzieć okolice tej gwiazdy, gdzie jednocześnie jestem. Być jednocześnie w wielu miejscach!

Pamiętam, że zdałem im coś w rodzaju pytania o sensie: »jak wy poruszacie się w czasie?« – i tu znów pojawił się u mnie »w mózgu« obraz czarnej kuli, która bez »rozpęknięcia« wywinęła się na drugą stronę, tak jak można wywinąć rękawiczkę na drugą stronę... i jednocześnie poczułem z ich strony zapytanie: »pojmujesz?« Niestety, nie pojmuję...”

Tyle opowiedział mi pan K.J. jeszcze w roku 1982. Czy mam mu uwierzyć? Czy to wszystko prawda? Jak to sprawdzić?

Możliwość nasunęła się sama.

W dniu 2 listopada 1984 roku przesłuchiwaaliśmy pod hipnozą pana Witolda R., którego ponad rok wcześniej humanoidzi zabrali z jego własnego mieszkania na Mokotowie, przeprowadzając go bezcielesnego przez ścianę do obiektu o kształcie kuli i średnicy około ośmiu metrów, tkwiącej w zawisie około metra nad ziemią o 180 metrów od domu. Wspominałem o tym fakcie poprzednio.

Postanowiłem wykorzystać ten fakt i poprzez hipnotyzera zadać uśpionemu i będącemu w kontakcie z załogą tego UFO, zapytanie o to, jaki charakter ma ta gwiazda, na którą dwa lata wcześniej zabrano pana J. Napisałem więc je na kartce: „Co to jest Antares?” Kartkę podałem hipnotyzerowi, dając znak ręką, by zapytał o to uśpionego, przeczytał on to i spojrział na mnie zdumiony, dając ruchami rąk znak, że on sam nie ma pojęcia, co by to mogło być? To dobrze, pomyślałem, nie będzie nawet mimowolnego telepatycznego przekłamania.

Odczekawszy chwilę, zapytał o to uśpionego Witolda.

Zapadła na długą chwilę absolutna cisza, której nikt z obecnych nie przerywał. Trwała ona około pięciu minut, w czasie których uśpiony ruszał gałkami ocznymi pod zamkniętymi powiekami, usta drgały mu, jakby z kimś rozmawiał... drgały mu też stopy... może z kimś gdzieś chodził?

Po chwili zaczął gestykulować dłońmi i z gardła jego wydobył się nie jego, lecz obcy, jakby basowo-gardłowy głos: „Dwieście siedemdziesiąt sześć” ...chwila ciszy... „trzysta trzydzieści” ...znów chwila ciszy... „trzysta” ...przerwa.... „trzysta lat świetlnych” ...znów przerwa i zdecydowany twardy głos: „Wy ludzie nazywacie to radioźródło”.

Witold był w owym czasie hydraulikiem i miał tylko wykształcenie zawodowe. Nie miał pojęcia o niuansach astronomii, a o Antaresie na jawie, po obudzeniu się ze snu hipnotycznego, nie miał zielonego pojęcia. Tymczasem nawet nie we wszystkich podręcznikach popularnej astronomii są te wieści o Antaresie... a nawet w wielu poważniejszych opracowaniach nie jest podane, że odległość tej gwiazdy od Ziemi jest zmienna, jako że krąży ona po elipsie i może być równie dobrze 256 jak i 322 lata świetlne od naszej planety... Znajduje się ona w gwiazdozbiornie Skorpiona i nie jest widoczna z północnej półkuli Ziemi. Tu uśpiony podał prawie średnią matematyczną odległości.

Odpowiedź w śnie hipnotycznym była bezbłędna. Skąd uśpiony mógł to wszystko wiedzieć? I wreszcie ten zwrot: „Wy ludzie”. A więc głos, który wydobył się z gardła uśpionego, był nie jego, lecz głosem humanoida?

Ten z kolei „wzięty”, Witold, relacjonował w hipnozie, że od ściany swego mieszkania na parterze domu był prowadzony przez dwóch humanoidów pod ręce, że szli oni po obu jego stronach i razem z nim w tunelu o ścianach, jakby utkanych z tęczo mieniącego się promieniowania. Nic nie wiedząc o tych zeznaniach pod hipnozą, Miłosław Wilk namierzył dokładnie w tym miejscu biegnący w przestrzeni niematerialny kanał o prześwicie poprzecznym równym 4x5 metrów... prowadzący od mieszkania tego człowieka wprost do... ś l a d u w przestrzeni, który pozostał po obecności tam UFO... Taki ślad nazywa się „kręgiem UFO”.

Tu ciekawa rzecz – świadek zapamiętał obecność „mieniącego się jak tęcza tunelu”. Takie wrażenia barwne, obecności czegoś nieokreślonego, na co nauka nie potrafi jeszcze dać żadnego wyjaśnienia, zauważane są niekiedy również wzrokowo, ale w czasie obecności w pobliżu UFO.

Sto siedemdziesiąty dziewiąty numer *Kuriera Polskiego* z roku 1981 donosił: „Krakowianin świadkiem przelotu kosmitów – Błyskawiczny manewr w różowej poświacie”. Ciekawe, ile jeszcze obserwacji mówić będzie o tej barwie aureoli otaczającej obiekt!

Okazuje się, iż mieszkaniec Krakowa (podane jest tam nazwisko świadka, którego jednak nie ujawniam) fotografował w Elblągu lokalną ciekawostkę, jaka jest przejazd pociągu przez środek miasta i w tym momencie ujrzał na niebie „ostry błysk światła i ujrzał dwa jaskrawe obiekty w towarzyszącej im różowej aureoli”. Wykonał więc zdjęcie, na którym dość dobrze widać jeden obiekt, sprawiający wrażenie materialnego, kształtu „klasycznego” dysku z kopułą, otoczonego tą aureolą, której niestety na czarno-białej reprodukcji w gazecie nie widać... Nie mogę też niestety reprodukować tego zdjęcia, zarówno z uwagi na prawa autorskie fotografa, jak i na kiepską jakość wydruku.

Idąc tropem podobnych, różowych emisji nieznannej formy energii w kontekście UFO, spójrzmy na przepiękne, moim zdaniem, jedno z najlepszych zdjęć upolowane przez pana Dariusza G. (prosił o nie podawanie nazwiska) z Oławy. Jak sam podaje, robił to bardzo dobrym aparatem na filmie o czułości 200 ASA, 31 stycznia 1998 roku. Wracał właśnie do domu przez pole pokryte śniegiem, gdy zauważył, że świeżo spadły śnieg wiruje i podnosi się w górę na wysokość dwóch metrów, tworząc kilkadziesiąt mikro-trąb powietrznych jednocześnie, pomimo, że nie ma wcale wiatru! Spojrzawszy w niebo pod słońce ujrzał niezwykle ostry błysk na niebie, nie namyślając się więc wykonał jedno zdjęcie, z automatycznym nastawieniem ostrości przez aparat. (To nie była tzw. „idiotenkamera” lecz naprawdę najwyższej klasy automatyczny aparat profesjonalny...)





UFO na niebie 31.01.1998 roku. (fot. Dariusz G., Oława)

W ten sposób powstało to zdjęcie. Sfotografował też te „wiry śnieżne”, ale zrobił je, gdy na obiektywie miał nie zdjęty z poprzednich ujęć (z innego dnia) żółty, kontrastowy filtr do filmu czarno-białego, i że zdjęcie wyszło tak zażółcone, że nie nadaje się do kopiowania, tym bardziej, że trudno na nim zauważyć te „wiry”. Tu jednak w odniesieniu do pozytywnego pięknego zdjęcia UFO w tonacji różowej z ciemniejszym dnem, możliwa była komputerowa analiza obrazu. Rozbicie barwy różowej na „bezbarwną”, wydobyło z wnętrza obrazu ostry kontur dyskooidalnego obiektu. Uchwycenie takiego efektu nie byłoby możliwym, gdyby obiekt na zdjęciu był tylko światłem! Tu widać, jak nowoczesna technika wspomaga ufologię... i dobry komputerowy program oddaje wielką pomoc... To dziwne różowe światło pojawia się bardzo często przy pojawieniu się UFO. Za często, aby to był tylko przypadek czy zbieg okoliczności. Tam bowiem, gdy te okoliczności w tej samej formie zaczynają się gromadzić, stają się prawidłowościami, wynikającymi z jakiejś wspólnej przyczyny. I tu musimy na chwilę pozornie odejść od tego tematu.

We wczesnych latach sześćdziesiątych mieszkał w USA skromny technik-elektryk John Searl. Pracował w jednej z dużych elektrowni, gdzie miał pod opieką wszystkie silniki elektryczne. Był po prostu ich konserwatorem. Mając sporo wolnego czasu i żyłkę badawczą, zauważył dziwny, powtarzający się efekt, który nie mógł być przypadkowym.

Gdy nakład na oś silnika elektrycznego okrągłą tarczę metalową i wprawiał wirnik w silną rotację, zdarzyło się kiedyś, że niechcący dotknął krawędzi tarczy rotującej z prędkością paru tysięcy obrotów na minutę. Ręka, która dotknął wirnika, oprócz lekkiego skaleczenia, poczuła ostre uderzenie prądem... Skąd? Przecież nie mógł przepływać prąd elektryczny przez oś silnika?

Zainteresowało go to i po miesiącach badań – robionych zresztą w tajemnicy – już wiedział:

Optymalny kształt rotującego dysku, nałożonego na oś silnika elektrycznego – to spłaszczona nieco połówka kuli wykonanej z mosiądzu lub miedzi. Przy średnicy takiego dysku około 1 metra (1 yard) i wadze kilkuset kilogramów, po nadaniu mu rotacji 2700 obr/min – na krawędzi dysku pojawiało się napięcie... 100 Volt. Searl był ostrożny w prowadzeniu doświadczeń. Dysk nie był nałożony wprost na oś lecz z izolacją, kapturem z plastiku nałożonym na nią i na to dopiero nałożony był dysk, po to by uniknąć nawet cienia możliwości przebicia prądu na wirujący dysk z wnętrza silnika. A jednak... „napięcie z nikąd” pojawiało się nadal przy każdej próbie.

Searl usiłował opatentować to prowizoryczne urządzenie, ale nic z tego. Nie potrafił tego uzasadnić teoretycznie, a przecież „napięcie elektryczne nie może powstać z niczego...”. Searl skontaktował się z kilkoma czołowymi fizykami-atomistami, wśród których byli m. in. znani atomiści dr Oppenheimer i dr Hieronimus. Gdy oni sami przekonali się, „że coś w tym jest” – zaczęli próby, ale już poza jakąkolwiek instytucją rządową. Złożyli swoje kapitały do spółki i okazało się, że... dysk metalowy o średnicy 3 metrów, nałożony na pionową oś silnika, po nadaniu mu rotacji kilkudziesięciu tysięcy obrotów na minutę – może dać tyle energii elektrycznej co wszystkie razem elektrownie w USA... Takie warunki pracy można było uzyskać tylko wówczas, gdy dysk wirował w próżni...

Grupa badawcza Searla wyniosła się ze swymi doświadczeniami do Szkocji, gdzie zakupiono niewielki teren. Tam w czasie prób zdarzył się dziwny przypadek: wirujący z olbrzymią prędkością dysk, nałożony poziomo na pionowej osi silnika – zeskoczył z niej, wzbil się pionowo z olbrzymią prędkością do góry i roztrzaskał się o dach hali. Przed wyrwaniem się wzwyż znajdował się w obudowie szklanej, w wysokiej próżni. Teoretycznie siła nośna powstająca jako wartość ujemna nad górną krzywizną dysku mogłaby spowodować taki efekt – ale wówczas, gdyby działało się to w środowisku materii, czyli w powietrzu... a nie w próżni. Następne doświadczenia nie wyjaśniły, a raczej zaciemniły problem: dysk kilkakrotnie zrywając się z pionowej osi, otaczał się różowym światłem i... znikał. Po takich zniknięciach nie pojawiał się już nigdy. Wychodził poza naszą czasoprzestrzeń – do „nadprzestrzeni”.

John Searl napisał i wydał własnym nakładem książkę pt. *Aether Technology* (Technologia Eteru). I tu – wydaje się – jest pies pogrzebany.

W pewnych określonych warunkach fizycznych możliwe staje się wyjście w „eter”, innymi słowami pojawia się możliwość... przejścia poza naszą czasoprzestrzeń, która wcale nie jest gdzieś w nieokreślonej dali, nie gdzieś daleko, ale „tu i teraz”. O ile mi wiadomo, w naszym kraju, w posiadaniu jednego z naszych ufologów znajduje się 1 (jeden) egzemplarz tej książki, przysłany przez nieżyjącego już, mieszkającego w USA badacza UFO nazwiskiem Colman von Keviczky. Wiadomo mi też, że zbudowany wielkim nakładem kosztów dysk podobnej konstrukcji, ale teraz już średnicy ośmiu metrów – wyrwał się, wybił sobą dach hangaru w którym czynione były próby, uciekł na dużą wysokość otaczając się różową poświatą i nigdy więcej się nie pojawił... Tę wiadomość przekazał nam właśnie von Keviczky, który bardzo interesował się tą sprawą.

W okolicy, w której mieszkam, zdarzył się dziwny przypadek w dniu 4 grudnia 1984 roku. Byłaby to jedna z licznych, kolejnych obserwacji UFO, gdyby nie pewne okoliczności, które tam zaszły. Otóż mieszkam na 10 kondygnacji wysokiego domu. Kiedyś sąsiadka, mieszkająca o piętro wyżej, zobaczyła u mnie w domu dużą lornetkę. Pożyczyła ją ode mnie na tydzień, właściwie nie mówiąc w jakim celu. Po tygodniu przypomniałem sobie o lornetce, wieczorem więc po powrocie ze spaceru z psem zaszedłem do niej. Otworzyła mi drzwi i jakby zaaferowanym ale i podnieconym głosem powiedziała : „Och, jak to dobrze, że pan przyszedł, pan też to widział, prawda?”

A ja nie wiedziałem co ona ma na myśli...

Okazało się, że w momencie, gdy byłem z psiakiem koło domu, ona posiadająca mieszkanie z drugiej strony domu, widziała z otwartego okna, wzrokowo a później przez tę właśnie lornetkę, lądowanie dwóch dużych UFO, o około sto pięćdziesiąt metrów od naszego domu. Niestety, można to było obserwować tylko z jej mieszkania, a nie z mojego, gdyż moje ma okna po przeciwnej stronie domu... Będąc na dole z psem, nie miałem pojęcia, że za zasłaniającą widok małą rudą jest akurat coś tak dziwnego, jak pobyt dwóch UFO jednocześnie na ziemi... Po tych jej wyjaśnieniach byłem – prawdę mówiąc, wściekły.

„Ja stałam w oknie i widziałam te obiekty i widziałam pana, jak pan chodził z psem...” – opowiadała, dziwiąc się mojej reakcji na jej niefrasobliwość. – „Pomiędzy panem a tymi »ufami« był tylko ten stary dom... Stałam w otwartym oknie i widziałam... dwa UFO średnicy (jak później to okreśiliśmy) dwunastu metrów każdy. Krążyły tuż nad ziemią, jakby dookoła wspólnego punktu w przestrzeni. Krążyły powoli, jakby czegoś szukały... każdy z nich emitował na całej swej dolnej powierzchni światło barwy »pawiej«, ciemnozielono-niebieskiej, zaś górna jego pokrywa świeciła

ciemno-różowo... Stałam jak zafascynowana tym widokiem, zapominając, że jestem tylko w letniej sukience, a było cztery stopnie mrozu. Patrzałam najpierw bez lornetki, później przez nią... widziałam, że każdy z nich miał cieką »kryzę« na połowie swej grubości, otaczającej go poziomo”.

Lornetka była „8x40” i z odległości 150 metrów miała je jak na dłoni...

Możemy zrobić tu małą dygresję. Przypomnijmy sobie opis pojawienia się UFO nad dzielnicą żydowską w kwietniu 1943 roku podany na początku zamiast wstępu. Tam również dominowały dwie podstawowe barwy: ciemno-zielono-niebieska, tzw. „pawia” i „malinowa”, względnie ciemno-różowa.

„W pokoju, w którym było to otwarte okno, leżał w łóżku mój mąż chory na grypę i krzyczał, żebym je zamknęła, a ja byłam jak sparaliżowana i prawie nie słyszałam jego wrzasków. Mówiłam mu nawet, żeby podszedł tu i zobaczył te UFO... ale on nie chciał, a potem powiedział, że gdyby je zobaczył to musiałby w nie uwierzyć, a on przecież w to nie wierzy...” Dobrze, co?

Zamiast więc odebrać lornetkę – zrobiłem coś innego. Pobiegłem do mieszkania po statyw z założonym aparatem „Zenit” i teleobiektywem 300 mm „Fotosnajper”, z filmem diapozytywowym (slajdem) o czułości 20 DIN na światło dzienne. Wiedziałem bowiem, że te dwa UFO, które z tego miejsca odleciały w kierunku północno-wschodnim, są tak naprawdę podróżnikami w czasie, i że prawdopodobnie pojawiły się z bliskiej przyszłości, a zatem mam szansę uchwycić je w ich czasie przeszłym, który „u nas” jest dla nas czasem „przyszłym”... Zrobiłem jedno ujęcie z czasem naświetlania 6 minut. Wiedziałem, że nie trzeba robić drugiego..., albo je upolowałem na tym jednym lub też wcale.

Uchwyciłem ten obiekt na tle nieba zgodnie z przewidywaniem na horyzoncie, kształtu pionowej grubej kielbasy. Może gigantyczny „statek matkę”, „bazę”, a może gigantyczny obiekt kosmiczny. Jego rozmiary w stosunku do punktów odniesienia na horyzoncie wskazują, że mógł mieć sześć kilometrów wysokości (długości w pionie). Niestety, obiekt był w barwie szarej na szarozółtym tle nieba.

Te dwa UFO operowały takimi samymi barwami światła jak ten obiekt opisany przeze mnie na samym początku, nad gettem. Czyżby tamten to był także zwiadowca w czasie, który celowo pojawiał się w tych momentach czasu, które uznawał za godne uwagi...? Dlatego nie udawało się zestrzelić go. On w naszym świecie był tylko jakby zmaterializowanym hologramem, strukturą posiadającą pewne cechy materii, ale w głównej mierze tylko wiązką tachionów, uformowanych do takiego kształtu, który determinują jakieś – na razie nieznanne – jego warunki techniczne.

Biorąc jakikolwiek przedmiot w rękę, możemy bezspornie stwierdzić, że jest to materia, którą potrafimy jakoś określić. Jej kształt, kolor, skład chemiczny itp. Z drugiej zaś – jest to jednocześnie przetworzona informacja, której nie jesteśmy w stanie określić jako „niematerialny zapis cyfrowy zapisany w systemie binarnym”, lecz w zgodzie z naszą świadomością, jedynie jako... materię o określonym kształcie, barwie, składzie chemicznym.

Trudno byłoby przekazać przez bezmiary kosmosu, na miliardy lat biegu światła, jakąkolwiek materię, uformowaną według naszych kanonów. Zupełnie zaś nie trudno przekazać zapis w ciągu binarnym, dwójkowym – lub jak twierdzą niektórzy humanoidzi – w zapisie „trójkowym” jakby zeskanowaną strukturę, która „u celu” przyjmie taką formę, jaka będzie optymalna dla danego zadania. Może być twardym przedmiotem, ściskającym piasek plaży w Chałupach na kamień. Może być tylko obrazem, rozpoznawalnym przez naszą świadomość czy wzrok, ale równie dobrze może nadal, będąc w naszym otoczeniu, pozostawać w stanie nieuchwytnym dla naszych zmysłów, w stanie niewidzialnym... będąc ciągle tym samym: przekazem informacji. Ta informacja nie zawsze przeznaczona jest dla nas.

Spoglądając krytycznym okiem na światła emitowane przez UFO zauważa się, że UFO jakby „preferuje” pewne ich barwy. Oczywiście nie chodzi tu o żadne oświetlenie Ziemi przez UFO barwnymi światłami, lecz o emisję takich długości i częstotliwości fal światła widzialnego lub niewidzialnego, które związane są z określonymi procesami fizycznymi. Idąc tym tropem zatrzymajmy się na chwilę przy najczęściej obserwowanych barwach światła, które obserwuje się wzrokowo lub też tylko fotografuje się na zdjęciach barwnych.

Mówiąc o niewidzialnym świetle z pewnym fizykiem ze znanej w Warszawie placówki naukowej, spotkałem się z zarzutem, że wyrażam się nieściśle... może i tak, ale teraz z kolei ja zadałem pytanie i prosiłem o odpowiedź po dobrym zastanowieniu się i nad pytaniem i nad odpowiedzią. A pytanie było zwyczajne... chociaż pozornie wyglądało na naiwne:

– Jakiego koloru ma skórę murzyn w Afryce na równiku i – dlaczego?

Mój rozmówca wzruszył ramionami odpowiadając:

– No oczywiście czarną...

– Na pewno czarną? – nie dawałem mu spokoju...

– Nno... nie... ciemnobrązową.

– Jest pan pewny, że ciemnobrązową? Jakiego koloru ma murzyn skórę? Tam, gdzie operacja słoneczna jest najintensywniejsza? Czarną? Nie... Brązową...? Też nie. No więc jaką?

Chociaż to dziwne, ale k o l o r skóry murzyna najlepiej określić nie przy spotkaniu z nim a po sfotografowaniu go w pełnym słońcu (ale nie przy lampie błyskowej!) i po zastosowaniu przy wykonaniu odbitek barwnych tzw. „testu barwy szarej”. Otóż barwy są wiernie oddane wówczas, gdy sfotografowane np. szare spodnie na zdjęciu będą tej samej barwy, bez nalotu innej barwy.

Dziwne, ale barwa skóry żywej istoty w pełnym słońcu, która to rasa żyje tam od tysięcy lat, będzie mieć kolor ultrafioletu. Nie wierzycie? Fizyka twierdzi, że ultrafiolet jest dla oka niewidzialny – i ma rację, ale tylko w odniesieniu do światła a nie do pigmentu, jaki jest zawarty w skórze.

Zmieszanie takich barw światła jak oranżowy, niebieski i żółty, dadzą wynikową barwę światła białą. Ale ta sama „reguła” nie skutkuje przy mieszaniu pigmentów, np. farb. Tu akurat te kolory farb zmieszane razem dadzą... barwę khaki.

Trawa jest zielona, bo pochłania wiele barw widma światła a odbija żółty i niebieski, dające wynikową barwę zieleni. Skóra murzyna na równiku pochłania prawie pełne widmo światła, a odbija ultrafiolet, którego nadmiar byłby szkodliwy dla jego zdrowia i życia.

Za moją radą wspomniany fizyk wykonał proste doświadczenie: w zupełnej ciemności sfotografował na slajdzie barwnym cienką strużkę niewidzialnego ultrafioletu i po wywołaniu pozytywu zobaczył barwę skóry murzyna: bardzo ciemny brąz z odcieniem ciemnego fioletu.

Jaki to ma związek z UFO? Ano, faktem jest że często fotografuje się „niewidzialne UFO” na filmach barwnych właśnie w tej barwie – bardzo ciemnobrązowej z odcieniem fioletowym.

O tym, że UFO jest w wielu przypadkach niewidzialne, wiedziano od dawna. Zdarzało się bowiem, że w jakimś terenie pojawiały się „obce istoty z nikąd” i to wówczas, gdy żadna obserwacja wzrokowa czy przyrządowa nie wykazywała obecności jakiegokolwiek obcego pojazdu powietrznego. Jednakże twierdzenie, iż UFO może pozostawać w niewidzialności jest wodą na młyn wszelkiego rodzaju niedowiarków, niedowarzonych fizyków, dla których wszystko, czego ich oczy nie widzą, musi być, jeśli nie wręcz fikcją, to co najmniej nie udowodnioną hipotezą...

W swojej praktyce ufologicznej spotykałem – i nadal spotykam – szeregi obiektów, które pojawiając się nad miastem lub w jego pobliżu, są słyszalne, ale wzrokowo niewidzialne. Ich dźwięk przypomina granie olbrzymiego konika polnego. Jeśli taki dźwięk jest słyszany na przykład latem, w czasie ciepłego wieczoru – nikt nie zwraca na niego uwagi, jako że o tej porze roku jest to całkiem normalne. Zagadka zaczyna się wówczas, gdy jest wprawdzie letni ciepły wieczór, ale siąpi kapuśniaczek... W takich warunkach żaden konik polny czy inny owad nie będzie „grać”, gdyż wilgoć nie pozwoli na wydobywanie dźwięku ze skrzydełek tartych tylnymi odnóżami owada, bo na tym polega właśnie to „granie”.



Słyszać, ale nie widać, a jednak film łapie.

Bywa i tak, że podobne dźwięki nie tylko nie zanikają, ale nawet nasilają się zimą, podczas silnych mrozów, co w ogóle wyklucza obecność jakichkolwiek owadów. Taki przypadek miał miejsce w Warszawie 4 lutego 1984 roku o godzinie 20.00. Wówczas, zawiadomiona przez naszą „Grupę Badań UFO”, przybyła na południową dzielnicę Warszawy – Czerniaków ekipa filmowa II-go programu TV, która usiłowała sfilmować te niewidzialne, lecz słyszalne obiekty. Tego wieczoru panował rzadko spotykany w stolicy mróz, bo minus 30 stopni Celsjusza, co z góry wykluczało możliwość, by dźwięki te wydawały owady...

Niestety, filmowcom wówczas polowanie na UFO nie udało się, być może za sprawą użycia bardzo silnego oświetlenia, przy pomocy którego usiłowano zobaczyć niewidzialnego „świerszcza”, grającego wysoko na niebie...

To co nie udało się im, to ufologom na przestrzeni lat od 1982 do 1998 udało się kilkanaście razy. Tylko tyle... albo aż tyle – zależy jak na to patrzeć. Najdziwniejszym zdjęciem z tej serii było wykonane również w lutym, ale 1993 roku, już o świcie, gdy górne partie nieba były już jasne, a tylko dołem było jeszcze szaro. Wówczas udało się sfotografować na tle jasnoblękitnego nieba pionowe smugowate błyski przemieszczającego się obiektu, który nadal był poza obserwacją wzrokową i obiektyw aparatu również go nie widział, uchwycił zaś wydobywające się „z UFO” emisje pulsującego światła. Według prawdopodobieństwa – częstotliwość drgań tego, co nazywamy UFO była tak wielka, że przekraczała częstotliwość drgań światła i dlatego ani obiektyw ani nasz wzrok nie widział żadnego obiektu z „twardej materii”. Coś jednak musiało powodować spadek częstotliwości drgań tych emisji, przez co dla filmu światłoczułego weszły one w zakres, na który są one czułe – i film je zarejestrował.

Zauważmy – są one w dwóch podstawowych barwach bardzo często obserwowanych przy wielu obserwacjach UFO. Są to: zielononiebieska, jednorodna barwa o długości fali 492 nanometrów i barwa ciemno-żółta, wpadająca niekiedy w odcień „ochry”, jakby z przybarwieniem rdzawym. Mówiąc o barwie jednorodnej oznacza to, że znajduje się ona w widmie światła białego, jest jedną z jego składowych, a nie jest mieszaniną dwóch barw, np, niebieskiej i żółtej. Ta charakterystyczna barwa obserwowana jest bardzo często w obecności bardzo silnych pól magnetycznych.

Druga barwa, ochry, jest zauważana przy bardzo wielu incydentach, gdy dochodzi do kontaktu człowieka z nieznanym obiektem, zwłaszcza, gdy kontakt ten jest bardzo bliski.

Ludzie, którzy z bliska zetknęli się z tym żółtym światłem, opisują je niekiedy zaskakująco dziwnie. Taki przypadek miał miejsce w Warszawie przy ulicy Wiktorskiej na Mokotowie, zimą 1984 roku. Z miasta do domu wracał starszy mężczyzna, hydraulik zatrudniony przez jedną z administracji budynków mieszkalnych. Niósł ze sobą torbę parcianą pełną narzędzi ślusarskich. Było już ciemno, dość późno, bo około godziny 22-giej. Silny dość mróz i późna pora spowodowały, że ulica o tej porze była pusta. Przechodząc obok prześwitu pomiędzy dwoma wysokimi budynkami, zobaczył, że na początku podwórza stoi coś bardzo dziwnego.

„To było podobne do olbrzymiej »szczełui« (małży słodkowodnej, posiadającej skorupę, składającą się z dwóch podłużnych pokryw – po tym określeniu można poznać wędkarza, który nieraz takie małże widywał), stało to na ziemi obrócone przednią szczeliną ku mnie.

Górna pokrywa tego obiektu uchylona była do góry i ze środka tego czegoś biło na zewnątrz mocne, nasycone światło koloru ciemno-żółtego. To nie sprawiało wrażenia czegoś groźnego... podszedłem więc z zaciekawionym co to może być. Nie spodziewałem się tego, co nagle nastąpiło. Zostałem obezwładniony, nie wiem w jaki sposób i jakby zassany do wnętrza. Oblepilo mnie to światło i poniosło w głąb. Z wierzchu to wyglądało na coś niewielkiego, długości najwyżej trzech metrów i wysokiego też mniej-więcej na tyle... a w środku... leciałem kilka minut jakimś jakby tunelem, aż znalazłem się gdzieś, gdzie stało kilku ubranych w lśniące kombinezony. Od tej chwili niczego już nie pamiętam”.

Pan Józef K., 42-letni hydraulik okazał się całkowicie odporny na hipnozę i nie dało się niczego więcej z niego wydobyć. Miał bardzo silną blokadę nałożoną na świadomość. Jedynym efektem, który jeszcze świadomie pamiętał było to, że nieco po północy stał w tym samym miejscu, ubrany w waciak, który miał poprzednio na sobie, ale teraz włożony na lewą stronę, podszewką na zewnątrz, a jego narzędzia leżały luzem, bez torby na ziemi, ale nie rozrzucone bezładnie, lecz sklejone w jedną bryłę, trudną do rozerwania, jakby były poddane niezwykle silnemu polu magnetycznemu. Nie brakowało ani jednego. Po co, w jakim celu więc „wzięli sobie na pamiętkę” starą, parcianą torbę? Na pytanie, jak się czuł w tym żółtym świetle, mówił – „to było gęste i ciągnące się... oblało to mnie jak gęsta śmietana... to było jakimś dziwnym gazem, ciepłym, lepkiem i ciągnącym się... a do tego nieprzejrzystym...”.

Półtora roku wcześniej niedaleko tego miejsca został zabrany ze swego mieszkania przez dwóch humanoidów inny mężczyzna w zbliżonym wieku i – co najdziwniejsze – również hydraulik. Był nim wspomniany poprzednio pan Witold R., ten którego pytano w hipnozie o Antaresa... Obaj mieszkają na tej samej ulicy, obaj mają ten sam zawód i są w zbliżonym wieku.

Parę dni po „wzięciu” Witolda R, on i jego braź Krzysztof ustawili aparat na statywie, nocą, kilkadziesiąt metrów od tego miejsca, gdzie poprzednio wisiąło w powietrzu to UFO, do którego był zabrany Witold. Wykonali jedno zdjęcie na barwnym slajdzie, z czasem naświetlenia ok. 4 minut. Dziwne, co uchwycili. Były to wielobarwne błyski polatujące w różnych kierunkach bisko nad ziemią, ale żaden z nich nie był podobny do UFO. Podobne obserwacje takich światła obserwuje się wielokrotnie na całym świecie. Skoro jest ich dużo, a te efekty prawie identyczne – to i przyczyna jego pojawiania się, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest taka sama.

Ufolog-badacz ciągle obraca się w kręgu wielkich niewiadomych. Styka się ze zjawiskami, których nie potrafi wyjaśnić i jedyną drogą jest dochodzenie do prawdy lub przynajmniej

prawdopodobieństwa w drodze wychwytywania podobnych zdarzeń, jeśli nie identycznych, to przynajmniej zbliżonych.

Sceptycy, negujący obserwacje UFO, nie tylko wzrokowe ale instrumentalne, jako jeden z głównych atutów wysuwali fakt, że często dokonywane obserwacje tych obiektów dokonywane przez pilotów cywilnych i wojskowych nie znajdują potwierdzenia w rejestrach prowadzonych przez służby radarowe.

Znam obecnie wiele takich zaprzeczanych obserwacji, gdzie nie były potwierdzane one przez radary np. lotniskowe, a gdzie nie tylko widziano wzrokowo UFO, ale i fotografowano je.

Ci, którzy zaprzeczają tym faktom i uznają brak potwierdzenia obserwacją radarową za najważniejszy – zapominają, że już w tej chwili istnieją samoloty zbudowane przez człowieka np. F-117 *Stealth* czy bombowiec B-2, posiadający ten cenny atrybut: „niewidzialności dla radaru”.

Czas już teraz spojrzeć całościowo na to zjawisko, które dotychczas nazywamy „UFO”, czyli niezidentyfikowanymi obiektami latającymi, podczas gdy po dokładniejszym poznaniu ich zachowań się i... pochodzenia, przestają one wielokrotnie mieścić się w pojęciach „obiektów latających” czy wreszcie „nieznanych”.

Na dobrą sprawę widząc lecącego w powietrzu ptaka jest on również dla nas „UFO”, gdyż obserwując go z daleka, nie wiemy o nim właściwie niczego: wiemy tylko, że przemieszcza się w powietrzu, ale nie wiemy, czy jest rzeczywiście ptakiem? A może... ssakiem, na przykład nietoperzem, który przecież nie jest ptakiem a lata. Nie znamy ani jego gatunku, rodzaju, a choćby i jego płci. I tak naprawdę to on jest dla nas tylko nieznanym obiektem lecącym.

Poruszanie się w powietrzu obiektów cięższych od powietrza ma dwojaki charakter. Może to być lot balistyczny, dokonywany nawet wówczas, gdy obiekt nie musi pokonywać atmosfery, chociaż często w niej się porusza, ale równie dobrze może pokonywać przestrzeń prawie-próżni kosmicznej. Takim „lotem” pokonywać będzie przestrzeń zwykły kamień wyrzucony ręką ludzką czy piłka do gry, jak też pocisk wystrzelony z broni palnej, strzała z łuku czy wreszcie rakieta międzyplanetarna.

Drugim z kolei sposobem pokonywania przestrzeni jest lot aerodynamiczny, gdzie konieczne jest środowisko materii, w którym obiekt porusza się. Może to być więc właśnie lot ptaka czy samolotu. Tu, wskutek odpowiedniej konfiguracji płaszczyzn nośnych, wytwarza się siła wyporu, siła nośna pokonująca lepiej lub gorzej ziemskie pole grawitacyjne. Tak latają konstrukcje posiadające skrzydła, gdzie ich kształt w czasie pokonywania przestrzeni pozwala właśnie na powstawanie tej siły.

Swoistym podobieństwem do poruszania się aerodynamicznego w atmosferze będzie np. poruszanie się, w pewnym sensie „lot” wewnątrz środowiska wodnego, choćby ryb czy skonstruowanych przez człowieka łodzi podwodnych, tu poruszanie to możemy nazwać analogicznie do „aerodynamicznego” jako „hydrodynamiczne”. Pokonywaniem oporu środowiska przy jednoczesnym częściowym uniezależnieniu się od ziemskiego pola grawitacyjnego.

Tymczasem – jakież niezwykłości, jakie sposoby zachowań się w naszym środowisku zauważamy u UFO? Przemieszczanie się z szybkościami wielokrotnie przekraczającymi rozchodzenie się dźwięku w powietrzu. Już przy końcu II wojny światowej dalmierzyści niemieckiej obrony przeciwlotniczej, w lutym 1945 roku, namierzali nad Czechosłowacją obiekty lecące z prędkością 5500 km/godz. Obecne precyzyjne zdjęcia lotnicze wykazują niekiedy prędkość UFO 60 kilometrów, ale nie na godzinę a na sekundę. W trakcie tych gigantycznych prędkości, uzyskiwanych przecież w atmosferze, UFO nie powoduje ujemnych choćby i dla siebie efektów związanych ze zjawiskiem tarcia o cząstki powietrza, także ze zjawiskiem bezwładności, szczególnie przy wykonywaniu gwałtownych skrętów, często pod kątem 90 stopni w stosunku do pierwotnego kierunku lotu.

Notuje się też zjawisko momentalnego startu z punktu „zerowego” do tych granicznie wielkich prędkości, jak też momentalne zatrzymania się. Takie wyhamowanie lotu jakiegokolwiek obiektu wykonanego z „twardej materii”, powinno doprowadzać do rozlecenia się obiektu w kawałki, wskutek gwałtownej sprzeczności z siłą bezwładności. „Zwykły” samolot czy nawet pocisk zahamowany momentalnie w swym locie, zachowałby się tak, jakby z całą siłą pędu uderzył w

twardą ścianę. Stałoby się tak, jak z opisanym poprzednio zderzeniem Fiata-126p mojego znajomego ufologa z „nieistniejącym obiektem”.

Niezwykłą zdolnością UFO jest przenikanie poprzez takie ośrodki jak materia stała, ciekła czy gazowa, poprzez zamrożony na kamień lód bez żadnych uszkodzeń przenikanego środowiska jak i bez widocznych uszkodzeń samego UFO... Tę zdolność wykazują również czasami członkowie załóg UFO, a także prowadzeni przez nich, zabierani do wnętrza UFO ludzie. Tu zauważyć jednak trzeba, iż ludziom udają się to jedynie wówczas, gdy są prowadzeni za rękę przez załogantów UFO, gdy w pewnym sensie stanowią całość z materią tych istot.

I wreszcie najdziwniejsza zdolność tych zjawisk, zwanych dotychczas UFO. Są to zmiany w biegu czasu, zachodzące w pobliżu miejsca pojawiania się nie tylko tych obiektów, ale i samych „humanoidów”, uważanych za ich załogi, nawet wówczas, gdy nie stwierdzono w pobliżu jego pojawiania się.

Czytając liczne opisy konfrontacji człowieka z UFO niejednokrotnie po prostu wzruszmy ramionami, widząc pozorną nonsensowność zdarzenia. Dopiero gdy sasma zetkniemy się z tym, z jednej strony zauważamy całą niezwykłość sytuacji, a jednocześnie zaczynamy pojmować, że w gruncie rzeczy my sami, nasza wiedza i nauka w porównaniu do ich technicznych możliwości, stoi w takim stosunku jak Aborygen w środkowej Australii do... samolotu naddźwiękowego, który by przedefiniował przed jego zdumionymi oczami po niebie. Nawet, gdyby taki człowiek miał kiedyś możliwość znaleźć się w środku takiej, na przykład rozbitej w katastrofie maszyny, mógłby o niej powiedzieć mniej więcej to co my obecnie mówimy o UFO: że można w niej siedzieć... czasem nawet bardzo wygodnie.... i nic więcej. Pokładowy komputer czy tablicę przyrządową może uznać za czarodziejskie skrzynki, robotę diabła czy coś podobnego. Co mógłby powiedzieć o sposobie, w jaki „to” latało po niebie?

Niewątpliwie, wizerunek takiego „boga z nieba” wryłby mu się tak mocno w pamięć, zechciałby przekazać ten wizerunek swoim potomkom, a może nawet byłby skłonny oddawać mu cześć należną bogu... Namalowałby więc prymitywnymi środkami to, co widziały jego oczy, ale co przechodziło jego pojęcie. Stąd obecnie tyle odkrywa się różnego rodzaju rysunków naskalnych w różnych zapadłych okolicach naszej planety.

Obawiam się, że w pewnym sensie większość z nas, interesujących się sprawami UFO zachowuje się podobnie do australijskich krajowców. Widzimy tylko zewnętrzne atrybuty tych obiektów, rzadziej zauważamy istoty pochodzące z nich, a prawie wcale nie zwracamy uwagi na zjawiska, nie tylko fizyczne czy psychiczne w odniesieniu do nas samych pojawiające się w momencie trwania UFO w naszym pobliżu, ale i takie, których nie jesteśmy w możności zauważyć naszymi niedoskonałymi zmysłami. Do takich zjawisk „pozaźmysłowych” należą nie tylko te, wchodzące w zakres ezoteryki, parapsychologii czy nawet jogi, lecz również i te, która zachodzą poza interwałami pól elektromagnetycznych i nie mogą być wykryte naszymi zmysłami, bez używania bardzo specjalistycznych przyrządów.

Wielu z badaczy specjalizujących się w ezoteryce, zauważa na przykład, iż ich zdaniem pozafizyczne ciała człowieka, takie jak ciało astralne, charakteryzują się bardzo wysokimi energiami, związanymi nieodłącznie ze znacznie wyższymi częstotliwościami drgań niż są one obecne w świecie, tym który uważamy za „naszą czasoprzestrzeń”.

Wiele zjawisk niepojętych i niezrozumiałych zachodzących w szeroko pojętym kontekście UFO, jak się okazuje, daje się badać instrumentami, przystosowanymi właśnie do rejestrowania promieniowań o najwyższych, znanych w przyrodzie częstotliwościach drgań, choćby w zakresie oddziaływań promieni radioaktywnych, rentgenowskich i gamma.

Tak naprawdę, to w naszym kraju nikt nie prowadzi zakrojonych na szeroką skalę badań w zakresie UFO, których celem byłoby znalezienie, jeśli nie odpowiedzi na pytanie czym ono jest, to przynajmniej – jako ono robi, że pojawia się w naszym pobliżu kiedy chce i gdzie chce.



## Rozdział III

### Lądowanie UFO w Chałupach 08.08.1981 r.

Upalne popołudnie sierpniowego dnia zostało zmażone niezwykłym wydarzeniem. Około sześciu tysięcy plażowiczów na wybrzeżu Bałtyku w Chałupach na półwyspie helskim było mimowolnymi świadkami pojawienia się czegoś, co wówczas jeszcze było dla większości niepojęte. Wielu zresztą prawdopodobnie w ogóle nie zwróciło uwagi na różową chmurkę nadlatującą od strony Władysławowa, miejscowości leżącej u zachodniego skraju półwyspu.

Chmurka zapadła w nadbrzeżne chaszczce, ale i to też nie wywołało zainteresowania wylegających się na słońcu ludzi.

Pan Ryszard K. (dotychczas we wszystkich publikacjach na ten temat zmieniano mu imię na „Krzysztof”), 38-letni wówczas artysta malarz miał już dość upału i beczynności, ubrał się więc nieco i poszedł w stronę rzadkiego tu sosnowego lasu by drogą idącą w nim dotrzeć do campingu, gdzie mieszkał.

„Dochodząc tam widziałem idącą za mną parę starszych ludzi z pięknym biało-czarnym buldogiem. Jestem plastykiem i dlatego wzrokowo zapamiętałem obraz tego pieska” – tak zaczyna swą relację pan Ryszard. – „Gdy wchodziłem między drzewka oni byli jakieś dwieście metrów na mną. Idąc w głąb rzadkiego lasu nie myślałem o niczym, dlatego uwagę moją przykuła „ważka” koloru pomarańczowego i wielkości dłoni polatująca bezgłośnie przed moją twarzą. Na nic nie zdało się odpędzanie jej dłonią, uparcie trzymała się przede mną i mimowoli kierowała ku sobie moją uwagę.

Patrząc w jej kierunku ujrzałem jak o jakieś siedemdziesiąt metrów ode mnie w poprzek ścieżki przebiegło długimi płynnymi susami dwóch harcerzyków ubranych w ciemnozielone kombinezony. Nie zastanowiło mnie wówczas takie nonsensowne zestawienie: upał sięgający do plus trzydziestu stopni w cieniu i harcerze ubrani w kombinezony zapięte pod szyję. Mimowoli szedłem więc w ich kierunku. Po przejściu kilkudziesięciu metrów i skręceniu za lekkim zakrętem zobaczyłem ich znowu. Teraz stali obaj w poprzek ścieżki w lekkim rozkroku trzymając ręce lekko ugięte w łokciach »jak kowboj szykujący się do wyjęcia colta«.

Byłem w tym momencie nie dalej niż o dwanaście metrów. Zrobiło mi się zimno i gorąco z wrażenia, gdy nagle uświadomiłem sobie, że to nie są ludzie... Patrzałem na nich a oni na mnie. Stali nieruchomo, obaj zupełnie identyczni, jak dwie kukły odlane z jednego tworzywa albo z jednej sztancy. Wzrostu nie więcej niż 1,60 metra, w ciemnozielonych kombinezonach ciasno opinających ich sylwetki. Twarze mieli nieco innej barwy, bardziej oliwkowo zielonkawe, duże ciemne oczy z białkami jak u ludzi. Nosy ledwo zaznaczone, a zamiast ust tylko poziome kreski. Nie odzywali się ani nie zachowywali agresywnie w stosunku do mnie pomyślałem więc, że pogadam sobie z nimi... i tak szedłem powoli w ich stronę. Byłem już od nich nie dalej niż cztery kroki i nagle »posłyszałem« w głowie przekaz od nich: »nic nie mów, przechodź«.

W tym samym momencie zauważyłem stojący za nimi w lesie dziwny pojazd, wyglądający jak pozioma srebrzysta pestka od śliwki. Dochodziłem już do nich i nagle obaj oni znaleźli się nie frontalnie zwrócenie do mnie jak przed chwilą, a bokiem, na krawędzi ścieżki. Nie zauważyłem żadnego ich ruchu, kiedy zmienili pozycję względem mnie. W tym momencie, gdy mijałem ich z odległości nie większej niż dwa metry, czułem ich nieruchomy wzrok na sobie. Miałem ich ze swej prawej strony i poczułem odrętwienie lewej połowy czaszki. To uczucie utrzymywało się później przez jakieś trzy dni i minęło stopniowo. Mijając ich zobaczyłem, że mają na pasach zawieszane dziwne urządzenia: to były jakieś prostokątne pudełka czarnej barwy i zwisające z nich fioletowe, jakby kable czy rurki, zwinięte spiralnie. Każdy z nich miał też od podbródka aż do pasa szeroki na jakieś trzy centymetry złocisty, wypukły pas, pokarbowany poprzecznie.

Gdy minąłem ich »z duszą na ramieniu« nie wytrzymałem i obejrzałem się za nimi. Stali nadal na ścieżce, znów twarzą do mnie... Teraz zobaczyłem po raz drugi w krzakach ten ich pojazd, był

tym razem przy tej samej wysokości jakby o połowę krótszy.

Gdy podchodziłem do nich po raz pierwszy widziałem, że ciało ich od połowy piersi do połowy ud osnute jest opalizującą mgiełką, ciągnącą się w głąb lasu w stronę tego ich obiektu.

Szedłem więc dalej leśną ścieżką, chcąc wyjść z lasu. Doszedłszy do mniejszej gęstwiny, przypomniałem sobie o tej parze starszych ludzi, którzy szli za mną zanim wszedłem do lasu. Postanowiłem zaczekać na nich na skraju gęstwiny by mieć potwierdzenie, że i oni widzieli te istoty i ten dziwny ich pojazd.

Stałem więc na ścieżce czekając na ich nadejście. Widziałem ich nadchodzących i tak zagadanych między sobą, że na nic nie zwracali uwagi. Obok nich biegł bez smyczy ich pies i węszył wokoło. Czekałem aż nadejdą i będą tuż obok i nagle zorientowałem się, że oni oboje, a co dziwniejsze i ich pies również, przeszli przeze mnie na wylot, tak jakbym był niewidzialnym duchem...

Przeraziłem się nie na żarty. Czy ja już może umarłem? – pomyślałem i uszczypnąłem się mocno w rękę. Poczulem ból i to mnie zreflektowało, że jednak żyję.

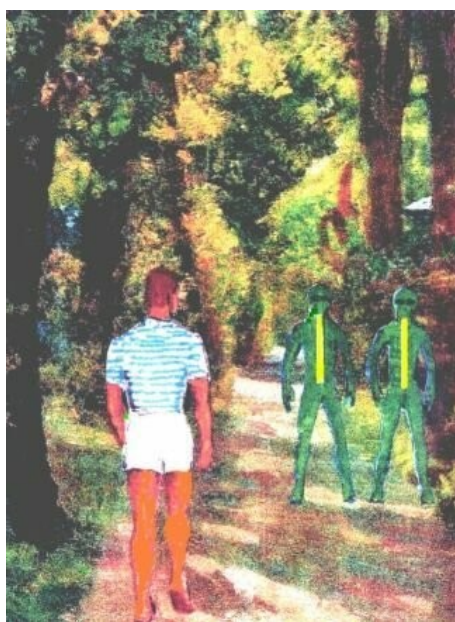
Pobiegłem za nimi, a zdążyli już odejść kilkadziesiąt kroków, i dobiegając do starszego pana mocno szarpnąłem go za ramię: Czy nie widzieliście mnie na ścieżce i przeszliście przeze mnie jakbym był z powietrza? – krzyknąłem nie panując nad swymi nerwami.

Starszy pan wyrwał mi się, ale widząc moje wzburzenie, spojrzął na mnie uważnie i... popukał się palcem w czoło, mrużąc coś pod nosem o pomyłonych.

Nie wiele myśląc zawróciłem, by biec z powrotem na plażę, ale żeby było szybciej, odbiegłem trochę z tego miejsca i pobiegłem wzdłuż toru kolejowego, nieco pustszą przestrzenią. Do plaży dobiegłem jak się okazuje o godzinie 18.30”.

Wielokrotnie później grupy badaczy i on sam, powtarzały tę trasę poruszając się na poszczególnych odcinkach z taką prędkością jaką on relacjonował, opisując zdarzenie. Za każdym razem zajmowało to 17-18 minut, podczas gdy zajęło to mu wówczas pełne 30 minut. Coś się tu nie zgadzało. Postanowiliśmy więc przebadać całą trasę jego poruszania się krok po kroku, minuta po minucie. Pozornie wszystko „grało”, z wyjątkiem jednego momentu.

Gdy mijał ich na ścieżce – chwilę wcześniej widział ich obiekt z „boku”, jako dość długą „pestkę od śliwki srebrzystego koloru”. Po paru sekundach uczył drętwienie połowy głowy i wówczas zobaczył ich UFO jako jakby „skrócone” w poziomie, ale mające tę samą co poprzednio wysokość.



Spotkanie dwóch „obcych” w Chałupach.

Świadka przesłuchiwaaliśmy przez wiele dni – za jego aprobatą – wiosną 1982 roku. Każde jego zeznanie nagrywaaliśmy na taśmę, by czynić później porównania pomiędzy kolejnymi nagraniami, by wyłowić jakieś istotne elementy, których świadomie mógł nie pamiętać. Zdarza się tak właśnie, że świadek czasami coś mimowoli powie, na co sam nie zwraca świadomie uwagi. Coś, co tkwi w jego podświadomości i stara się ujawnić wbrew jego świadomej uwadze. Słuchając po raz kolejny jego relacji zadałem mu zniemacka pytanie:

– W którym momencie nastąpił kontakt?

I on tu odpowiedział bez namysłu, bez zastanowienia się nad tym jak istotny jest sens jego odpowiedzi.

– To było wówczas, gdy mijalem ich na ścieżce...

Przerwał... i zaniemówił... w zaskoczeniu nagle pojawił sens tego, co przed chwilą wyrwało mu się z ust... Chwilę zastanawiał się i powoli dodał :

– Tak... to było wówczas.

Wydaje mi się, że nie jest tu istotnym opisywanie poszczególnych jego zeznań, powtarzających się opisów. Skupmy się na tym co koniec końców opowiedział i jaką istotną treść zawierał jego kontakt z przedstawicielami cywilizacji innej niż ludzka.

„Dochodzę do nich na ścieżce i nagle znika świat wokół mnie” – tak zaczął swoją długą, a istotną relację świadek. – „To tak, jakbym znalazł się w jakimś punkcie przestrzeni i ten punkt błyskawicznie rozszerza się do gigantycznej kuli... ona w mgnieniu oka rośnie i staje się wszechświatem...

Nie widzę nikogo koło mnie, jednak czuję jakby oni byli przy mnie... kierują moją uwagę na poszczególne okolice tej przeogromnej przestrzeni. Widzę olbrzymią gorejącą gwiazdę, buchającą żarem jak gigantyczny piec. Do mojej świadomości dociera od nich wieść, że to »kwazar« ku któremu nieuchronnie zmierza ich galaktyka. Oni tam, w tej galaktyce mają swoją siedzibę... ale do tego kwazara dotrą i zostaną nieuchronnie pochłonięci dopiero za około milion lat ziemskich. Oni są na wyprawie, mającej na celu znalezienie takiej okolicy we wszechświecie, dokąd mogliby przesiedlić swoją rasę... ale ani Ziemia, ani nasz układ słoneczny nie odpowiadają ich potrzebom. Są tu jakby przejazdem, wskutek nieprzewidzianego splotu przypadków, pozostawili na Ziemi, w naszym kraju, sześciu swoich towarzyszy, w tym jedną drugiej płci (tu rozumiem, że chodzi o kobietę). Oni nie wtrącają się w nasze życie, ale proszą mnie, bym im pomógł odszukać te istoty. Nie obiecują niczego w zamian... ale...”. – tu zamilkł.

Jeszcze zanim mogłem opublikować jakieś bardziej dokładne dane o tym incydencie, lecz wiedząc już, że celem przybycia tych „zielonych ludków” była prośba o pomoc – opisałem to w miarę dokładnie i opis na jedenastu stronach maszynopisu zaniósłem do „naczelnego” warszawskiego miesięcznika *Perspektywy*. Była to dopiero jesień 1981 roku, przed stanem wojennym. Redaktor długo czytał w mojej obecności mój maszynopis, a ja stałem i czekałem. Wreszcie odezwał się: „Nnno... dobrze... wydaję mi się, że pan napisał taki długi artykuł tylko po to, by poszła w świat wieść o tym, jak rozpoznać tych pozostawionych tu... Zdziwi się pan... ale ja to puszczę bez żadnych skreśleń...”

Artykuł ukazał się z datą 31 grudnia 1981 roku. Wydaję mi się, że niektórzy z Czytelników pamiętają z niego rysunek, wykonany przez naoczego świadka, przedstawiający „ufonautę” wysokiego na całą stronę. Siłą rzeczy były w nim niedopowiedzenia, gdyż istotny sens przekazu ujawniać się zaczął dopiero dokładnie rok później. Lądowanie miało miejsce 8 sierpnia 1981 roku, zaś w rok po tym fakcie, 8 sierpnia 1982 roku do Chałup przyjechał pan Miłosław Wilk. Od dnia jego przybycia zaczął się okres odkrywania przedziwnej sieci niewidzialnych i prawie niewyczuwalnych kanałów i tuneli, warunkujących pojawianie się UFO w ogóle.



Warszawski radiesteta Miłosław Wilk.

Kim jest ten człowiek – Miłosław Wilk?

Ukończył Akademię Rolną (dawniejszą i obecną SGGW), specjalizując się w melioracjach wodnych. Studiował ponadto matematykę oraz bez istotnej potrzeby a kierując się zamiłowaniem w tym kierunku, ukończył też uniwersyteckie studia w zakresie historii sztuki.

W chwili, gdy to piszę (rok 2002) p. Wilk pomimo, że przekroczył wiek emerytalny, nadal jest zatrudniony na pełnym etacie jako pracownik nauki w jednej z państwowych instytucji, zajmującej się badaniem promieniowania radioaktywnego. Jego badaniami w zakresie wykrytej przez niego „sieci Wilka” interesują się fizycy niemieccy – oraz archeolodzy zagranicami. Jak to zwykle u nas bywa, większą estymę dla niego mają archeolodzy i historycy szwajcarscy, szwedzcy i niemieccy, niż nasi rodzimi...

W roku 2002 mija dwadzieścia lat prowadzonych bez przerwy badań nad tymi przedziwnymi drogami dopływu do naszej planety informacji, docierającej z głębin kosmosu w najdziwniejszy z możliwych sposobów: przy pomocy wiązek promieniowania tachionowego, czyli wiązek „przyśpieszonych fotonów”, pokonujących zakłętą dotychczas „barierę c” – prędkości światła. Zdaję sobie sprawę, że dla wielu to, co tu podaje, wyda się bzdurą i nonsensem.

„Einstein przecież udowodnił, opracowując teorię względności, że pokonanie bariery prędkości światła jest niemożliwe...” – taki argument mogą wysuwać sceptycy, nie znający jednak dogłębnie Teorii Względności.

I rzeczywiście: do czerwca roku 2000 to było niemożliwe... i to pomimo tego, że Richard Feynmann, laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, już w roku 1965 opublikował, że jego zdaniem elektron obdarzony dodatnim ładunkiem elektrycznym czyli tak zwany „pozyton”, tak naprawdę posiada czas życia liczony w nanosekundach (miliardowych jej częściach) dlatego, że cofa się w czasie, jest więc efektem przeskoku zwykłego elektronu poprzez układ czarnej dziury, czyli tunelu czasoprzestrzennego. W roku 2000, profesor Lijum-Wang z Uniwersytetu Princeton potwierdził, że właśnie wiązka „przyśpieszonych fotonów” przekracza prędkość 300 tys. km/s uzyskując aż 90.000.000 km/s.

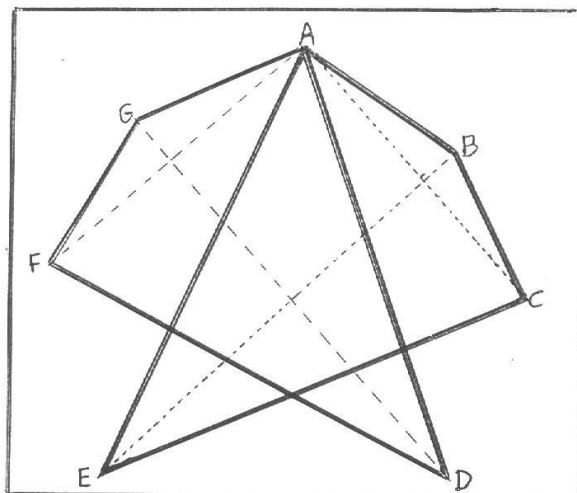
Jak to możliwe?

Otóż Teoria Względności zakłada, że prędkości 300 tys. km/s nie może przekroczyć cząstka elementarna posiadająca masę spoczynkową, a właśnie foton taką nie jest! Istnieje tylko w ruchu i nie mając masy spoczynkowej, może przekroczyć tę prędkość...

W Chałupach na Helu, 8 sierpnia 1982 roku Miłosław Wilk po raz pierwszy odkrył coś, czego rozwinięcie całkowicie zmieniło kierunek n a s z y c h dociekań ufologicznych. Od tego czasu minęło już dwadzieścia lat, a licząc od pojawienia się tam UFO aż 21. Czy zmieniło się cokolwiek w życiu człowieka, któremu dane było spotkać się na leśnej ścieżce z tymi dwoma przybyszami z

odległego kosmosu? Skontaktował się on ze mną wiosną 1999 r. Oto jego słowa: „Od tego spotkania w lesie z n i m i całkowicie zmieniło się moje życie. Do tego spotkania byłem plastykiem, nawet dobrym. Później zacząłem interesować się wiedzą niekonwencjonalną, ezoteryką, radiestezją, astrologią, jogą. Całkowicie się w tym pogрузyłem... idę teraz świadomie drogą rozwoju własnej osobowości, inspirowany tym spotkaniem z przed lat z tymi, co pomogli ludzkości już niejednokrotnie”.

W ostatnich latach rozwijając swoje nadmysłowe zdolności poznał tajniki czakroterapii. Dzięki umiejętności stymulacji i wzmacniania czakramów u ludzi potrzebujących pomocy w polepszeniu swego stanu, zdrowie stwarza nową gałąź bioterapii. Nie poprzez oddziaływanie dopływem zewnętrznych energii, a przez ujawnianie tych sił, które drzemią w każdym człowieku i mogą być ujawnione dla jego dobra.



Siedem śladów wyciśniętych przez UFO.

W miejscu lądowania UFO w Chałupach stwierdzono siedem śladów po podporach obiektu, które wycisnęły w gruncie okrągłe odciski, kształtu półkolistej „miski”. Dno każdego z tych śladów było utwardzone na kamień. W piasek na dnie śladów wprasowane były kawałki patyków z nadmorskich wiklin. Gdy jeden z badaczy usiłował wydłubać taki kawałek patyka z dna śladu, poczuł coś dziwnego: „To było tak, jakbym wsadził dłoń w jakąś ciągnącą się galarete i do tego bardzo zimną. Czułem, że mi dłoń drętwieje... nie wyjąłem jej lecz raczej siłą wyrwałem, ale jeszcze przez wiele godzin miałem uczucie, że jest oblepiona jakąś niewidzialną, ciągnącą się masą...”

Naoczny świadek mijając ufonautów na ścieżce poczuł odrętwienie prawej półkuli czaszki. On też miał uczucie przez kilka dni, że ma tę prawą półkulę odrętwiałą, ale to uczucie stopniowo zniknęło.

Badając rozkład czasu w momencie od wejścia do lasu świadka aż do momentu przybiegnięcia na plażę stwierdzono, że nie mogło to trwać dłużej niż 18 minut. Trwało zaś pół godziny. Gdzie podziało się 12 minut? Przesłuchując świadka pamiętałem, co przytrafiło się mnie samemu niepełna sześć tygodni wcześniej w Warszawie, w czasie przylotu dwóch UFO dnia 25 czerwca 1981 roku. Dlatego orientowałem się, że należy zwracać uwagę na pozornie mało ważne fragmenty relacji i urywkowe, pozornie nieważne spostrzeżenia.

Pytanie zadane świadkowi, pozornie nie mające związku z jego relacją, okazało się strzałem w dziesiątkę. Przełamało jakby niedopowiedzianą barierę psychiczną, wyrwało mu tkwiącą w podświadomości, zapamiętaną przecież nieświadomie, bardzo istotną część jego przeżyć.

Miłosław Wilk jak i inni badacze ufolodzy w następnych paru latach starali się odszukać jeszcze jakichś świadków, którzy by oprócz „zwierzeń w zaufaniu”, zechcieli podpisać swym imieniem i nazwiskiem oraz adresem to, co wzrokowo widzieli w momencie tych wydarzeń w Chałupach w

dniu ósmym sierpnia 1981 roku. Niestety, tak jak to zwykle bywa k i l k a tysiacy ludzi bylo na plaży, wielu z nich w rozmowach potwierdzało, że widziało wpierw nadlatującą różową chmurę w stronę tego miejsca, gdzie główny świadek spotkał tych dwóch „obcych”, wielu widziało też w momencie czasu pomiędzy wejściem świadka do lasu a wybiegnięciem z niego – również „różową chmurkę”, ulatującą w niebo ale tylko d w i e osoby odważyły się podać swoje personalia tylko do wiadomości badaczy. Byli to: prawnik, adwokat z Warszawy i jedna ze studentek, też ze stolicy

Łącznie z panem Ryszardem były to „aż” trzy osoby na kilka tysięcy, z których co najmniej czwarta część widziała wzrokowo przynajmniej c z ę ś ć wydarzeń w tym dniu...

Nie zapominajmy jednak, że miało to miejsce za czasów PRL, jeszcze przed stanem wojennym. Takie wówczas było nastawienie większej części społeczeństwa do tych spraw, opierające się przecież nie tylko na obawie przed wyśmianiem przez niedowiarków, ale i na „oficjalnym stanowisku przedstawicieli równie oficjalnej nauki, finansowanej przez władze”.

Zbieranie dużych zasobów informacji chyba raczej mija się z celem skoro jakoś nie słyhać, by istniejące kluby czy stowarzyszenia wykorzystywały je jakoś sensownie. Enigmatyczne gadanie, że „zostaną one opracowania w przyszłości”, jest moim zdaniem mydleniem oczu i sobie, i osobom, które interesują się tymi sprawami nieco szerzej. Dlatego też w tej książce operuję przeważnie przykładami zebranymi albo przez grupę współpracujących ze mną ufologów, także przeze mnie samego, oraz z napływających do mnie z całego niekiedy świata danych, nadsyłanych mi przez innych, oraz ze specjalistycznych pism-periodyków wydawanych za granicą.

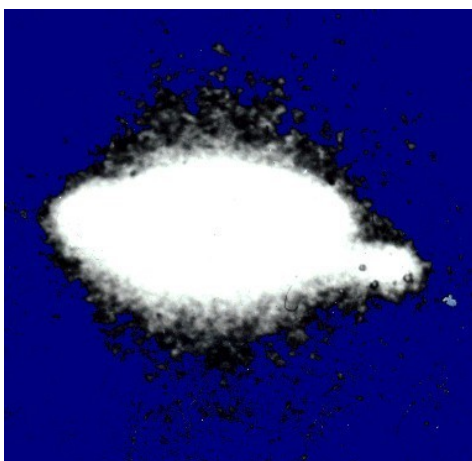
## **Jak „lata” UFO?**

Wielu ufologów zastanawia się nad „napędami”, jakie stosuje UFO. Ulegają oni – jak mi się wydaje – swoistemu bezwładowi myślenia i wnioskowania, według którego wszystko, co porusza się w naszej atmosferze, koniecznie musi posiadać enigmatyczny „napęd”.

Obojętnie co to będzie – ptak, samolot, rakietka czy pocisk armatni, nawet bumerang rzucony ręką Australijczyka, korzysta z jakiegoś napędu; własnego lub „przyłożonego”. A tu zagadka: UFO najczęściej wydaje się nie posiadać żadnego napędu, służącego mu do pokonywania gigantycznych odległości kosmicznych rzędu już nie setek czy tysięcy lat biegu światła a miliardów lat świetlnych.

W dniu 29 sierpnia 1981 roku byłem w Emilcinie i rozmawiałem z panem Janem Wolskim, który jak pamiętamy był pierwszym Polakiem, który przyznał się do pobytu wewnątrz UFO. Na zapytanie czy widział wewnątrz obiektu, do którego go zabrano – jakiegokolwiek sprzętu lub coś, co wskazywałoby, że obiekt ma jakiś „motor” – odpowiedział: „Nic takiego tam w środku nie widziałem”.

Opisał też wnętrze obiektu: „Z zewnątrz to było jak pół autobusu, a wyglądało to jak chałupka, taki miała daszek »zarakopiony« (określenie autentyczne spisane z nagrania magnetofonowego). Tam koło tych drzwi, co to były inne niż nasze, niż u nas, a takie były zwijane w rolkę, leżało kilka ptaków, takich »wronowatych«. Rzucały się, trzepotały skrzydłami, ale nie mogły wstać. Naokoło tego pomieszczenia były pod ścianami niskie »ławeczki«, o, tyle nad ziemią” – tu pokazał dłonią wysokość około 60 cm nad podłogą – „a żadnych sprzętów tam nie widziałem. Tylko jeden z tych, co tam byli, wsadzał w dziurkę w ścianie »taki patyczek, zakończony kulką i nim wiercił«, ale co to mogło być to nie wiem...”



UFO (fot. Marcin Jezierski)



Ufolog Marcin Jezierski.

– Czy widział pan w środku, w tym pomieszczeniu jakieś tablice, jakieś światła? – pyta ufolog z Warszawy, p. Marcin Jezierski.

– Neeee – brzmi odpowiedź.

– A co było na suficie? Proszę się dobrze skupić i starać sobie przypomnieć.

Wolski przymyka oczy i widać, że wczuwa się w to, co miało miejsce trzy lata wcześniej. Jeszcze zanim je otwiera, mówi:

– Tam była taka czarna rura... ona biegła środkiem sufitu...

– Czy przypomina pan sobie, jak ona była tam umieszczona – w poprzek sufitu czy wzdłuż?

– Podłużnie – mówi p. Wolski. – Od jednej ściany do drugiej. Wychodziła z jednej ściany i wchodziła w drugą.



Wolski w miejscu, gdzie było UFO.

Pierwszym badaczom, którzy dotarli do Emilcina jeszcze w 1978 roku, Wolski relacjonował, że w narożach zewnętrznej strony obiektu, u góry i dołu były takie „przetaki”, poziomo umieszczone obręcze o szerokich dość krawędziach, z których w górę i w dół sterczały „wiry”. Wirami nazwał on obracające się z olbrzymią szybkością jakieś jakby „śruby”, usytuowane pionowo. „One wyglądały, takie jak są w maszynkach do mięsa, co to mięso ciągną, tylko większe, i kręciły się i wydawały »buczenie« (słowa świadka spisane z nagrania magnetofonowego w posiadaniu autora)”.

Innych żadnych urządzeń, które by mogły być jakimś napędem, pan Wolski nie zauważył. Jednakże w wielu przypadkach pobytu ludzi wewnątrz UFO, świadkowie opowiadali o zauważaniu w centralnej części kolistego obiektu pionowych, grubych „słupów”, mogących kryć w sobie napęd. Ale jak dotychczas są to tylko domysły niczym nie poparte.

O zauważeniu części takiej pionowej, srebrzystej kolumny opowiadał też – jedyny jak dotąd mi znany świadek z terenu Polski – p. Wiesław Robert O., który był zabierany do UFO cztery razy. Przy ostatniej bytności zapamiętał, że stał tyłem do takiej właśnie srebrnej kolumny. Ten świadek brał udział w „Dniach UFO” w Białej Podlaskiej w 1996 roku i w „Forum UFO” w Warszawie 30 maja 1999 roku.

Fakt wielokrotnego zauważania takiego elementu wewnątrz UFO nie jest jednak dowodem, iż kryje się w nim jakiś w dosłownym sensie „napęd do podróży międzygwiazdnych”. Moim zdaniem – jeśli mowa tu o jakimś napędzie, to tylko o takim jaki może służyć do lotów w atmosferze ziemskiej, a co najwyżej do lotów na małe odległości, np. z Ziemi do umieszczonych w dalszych rejonach od naszej planety swoistych „baz UFO”, chociaż nie wydaje mi się, by spełniały one rolę gigantycznych statków przestrzeni, a raczej miejsc, w których to co znamy jako UFO, przechodzi metamorfozę, zamieniając się w zapisy informacyjne w zapisie binarnym, które mogą bez dalszych przeszkód być transmitowane poprzez układy „tuneli czasu” do dowolnego miejsca w przestrzeni i dowolnego punktu czasu.

Autor niniejszej „książki internetowej” wystąpił w 3-cim, regionalnym programie TVP w dniu 7 kwietnia 2002 roku, podając do publicznej wiadomości w jaki sposób UFO pojawia się „u nas” w naszym pobliżu. Wielu czołowych naukowców świata, a wśród nich i francuski astronom prof. dr Pierre Guerin uważa, że praktyczne uzyskanie efektu antygravitacyjnego, który by mógł mieć zastosowanie w UFO – jest „muzyką dalekiej przyszłości”, tym bardziej, że obecna fizyka teoretyczna nie zna podstaw do wyciągania wniosków o takich możliwościach. Tym niemniej, zauważa na łamach kwartalnika brytyjskiego *Flying Saucer Review*, zastanawiającym jest, dlaczego na takie „nie mające perspektyw napędy przyszłości”, rządy wielu krajów przodujących właśnie w fizyce, wydają olbrzymie sumy pieniędzy?

Guerin relacjonuje też zeznanie inżyniera elektryka Boba Lazara, zatrudnionego w bazie Groom Lake w Newadzie, który rzekomo mówił, iż w trakcie „naprawy uszkodzonego UFO”, polecono mu zwykłym woltomierzem badać urządzenia zawierające nieznaną oficjalnie nauce pierwiastek o liczbie atomowej 115, który według słów Lazara „ma zastosowanie przy napędzie antygravitacyjnym”. Wielu „znawców napędów UFO” jest właśnie zdania, że to ta pionowa wewnętrzna kolumna może zawierać element powodujący siłę skierowaną odwrotnie w stosunku do



ziemskiego pola grawitacyjnego. Jak mi jednak wiadomo, do początków roku 2002 nauka nie odkryła, ani też nie wytworzono w sposób sztuczny pierwiastka chemicznego o liczbie atomowej wyższej niż 113. Zatem zwierzenia Boba Lazara pachną fikcją.

Obracamy się niestety w kręgu przypuszczeń, co najwyżej hipotez. Zdarza się, że relacja o pojawieniu się UFO nadchodzi w zupełnie dziwnych okolicznościach. Był na przykład początek stanu wojennego, pierwsze dni stycznia 1982 roku. Na ulicach królowały plutony ZOMO, napadające bez żadnej przyczyny na grupy ludzi, którzy przecież, aby się dostać do pracy, musiały dojeżdżać podmiejskimi kolejami, ale wychodząc z dworców siłą rzeczy tworzyły duże grupy. To wystarczyło, by poczytać je za zbiegowisko i użyć granatów z gazem łzawiącym. Z duszą na ramieniu przechodziłem ulicami śródmieścia, aby dostać się do harcerskiego hotelu „Druh”, gdzie miałem mieć prelekcję na temat UFO, zamówioną przez środowisko harcerskie jeszcze w końcu listopada 1981 roku, przed stanem wojennym, a której już nie mogłem odwołać. W hotelu tym, jak się okazało na miejscu, kwaterował kilkudziesięciosobowy oddział rezerwistów, powołanych do czynnej służby i wcielonych do ZOMO, a oprócz nich moi słuchacze, instruktorzy harcerscy z całej Polski. Po prelekcji, ilustrowanej pokazem sporej porcji slajdów, okazało się, że jeden z instruktorów jest podporucznikiem WP, służył w broni pancerniej, i właśnie on, ppor. Witt złożył mi bardzo ciekawą relację:

„Parę lat temu (jak się okazało w bliższej z nim rozmowie w roku 1976) – brałem udział w manewrach i obozie szkoleniowym nad brzegami naszego morza. W gęstych lasach poprzecinanych przesiekami rozłożony był obóz, dziesiątki dużych namiotów, gdzie po kilka z nich należało do jakiegoś jednego batalionu. Każdy taki batalion miał swojego oficera służbowego, a całość oficera inspekcyjnego. Główna przesieka, szerokości trzydziestu metrów, nazywana była przez nas »aleją defilad« gdyż tamtędy wyjeżdżaliśmy czołgami na zajęcia szkoleniowe.

Którejś nocy pełniłem służbę takiego oficera batalionu. Około północy stałem koło swego namiotu i akurat podawałem ogień zapałką koledze-chorążemu z sąsiedniej jednostki... i w tym momencie zapomniałem o tym, że trzymam w palcach zapaloną zapałkę bo... nad »aleją defilad« przemieszczał się olbrzymi biały obiekt, tak na oko ze dwadzieścia metrów średnicy, o idealnej białości, z widoczną na nim kopułą takiej samej barwy, białej jak śnieg. Zapatrzonego w niego poczułem nagle ostre pieczenie – ogień zapałki dotarł do palców. To mnie wyrwało z zapatrzenia. Pośpiesznie sięgnąłem po lornetkę polową i zdążyłem jeszcze uchwycić jego obraz, gdy nie śpiesząc się oddalał się, ciągle trzymając się linii »alei«.

Batalionów czołgów stało tam kilka. Rano składaliśmy raport dowódcy zgrupowania i wszyscy oficerowie służbowi napisali prawie to samo, opisując bardzo dokładnie obiekt i jego poruszenie się nad naszym obozem...”.

Rzadko za czasów PRL zdarzało się, by oficer wojska dobrowolnie składał relację o spotkaniu z UFO. Ale spójrzmy na inną relację, tym razem z czasu wojny i lotu jednego ze skrzydeł polskiego lotnictwa bombowego w Anglii, wracającego z nalotu na Zagłębia Ruhry w 1942 roku. Obserwatorem i zarazem świadkiem pojawienia się dziwnego obiektu był por. pilot Stanisław Sobański.

Gdy ich czterosilnikowy bombowiec typu *Wellington* mijał płonące na dole miasta niemieckie, tylny strzelec zameldował, że dogania ich olbrzymia kula pomarańczowego ognia. Pilot rozkazał otworzyć ogień z działka, gdy kula znajdzie się blisko, ale strzelec nie zdążył już tego wykonać, gdyż kula nie zwracając na nich uwagi przeleciała obok ich samolotu z prędkością gigantycznie wielką na owe czasy, bo 1600 kilometrów na godzinę. Załoga samolotu określiła jednogłośnie średnicę kuli na około 15-16 metrów.

W latach siedemdziesiątych, a więc w ufologii to już dość dawno, pewien kanadyjski profesor psychologii z Laurentian University w Kanadzie, podejrzewał, że to, co ludzie widują jako UFO – może być jedynie omamem, wywołanym emisją do atmosfer dużych ilości wolnych ładunków elektrycznych, powstających przy wyładowaniach piezoelektrycznych. Wyładowania takie powstają na przykład przy tarceniu, ściskaniu i rozrywaniu, także przy skręcaniach masywów skalnych,

szczególnie skał krystalicznych. Napięcia tego rodzaju powstają tam wszędzie, gdzie pod ziemią istnieją uskoki geologiczne, płyty tektoniczne nasuwające się na siebie, także tam, gdzie ruchy górotworu mogą powodować lokalne „tąpnięcia” i drgania sejsmiczne, czy nawet trzęsienia ziemi.

Profesor zebrał więc grupę ochotników – badaczy, którzy poddali surowej ocenie około sześć tysięcy wiarygodnych doniesień o UFO, dostarczonych przez armię amerykańską i kanadyjską, które były również zainteresowane wynikami tak przeprowadzanych badań.

Bodajże w roku 1976 amerykański periodyk *Mufon UFO Journal* podał wyniki tych badań. Okazało się, że w większości przypadków UFO jakby preferuje takie tereny, gdzie występują:

- Duże ilości skał krystalicznych, szczególnie kwarcu i granitu, szczególnie gdy zalegają one na powierzchni ziemi;

- Suchy piasek i żwir pochodzący z takich skał;

- Rozległe tereny wodne, zarówno wody słodkiej jak i słonej, a więc rzeki, jeziora, morza. Duże, zalegające stosunkowo nie głęboko, zbiorniki wody oligoceńskiej, także tam, gdzie są rozległe bagna;

- Duże ilości żelaza, a więc mosty, kranie portowe i dźwigi budowlane;

- Konstrukcje stalowe, zbiorniki gazowe o pojemności dziesiątków tysięcy metrów sześciennych. Duże zgrupowania maszyn budowlanych i czołgów;

- Naturalne sztuczne silne źródła napięcia elektrycznego: stacje transformatorowe, elektrownie, elektrociepłownie, huty, duże fabryki;

- Naturalne, zalegające płytko, złoża rudy żelaznej, nawet niskoprocentowej darniówki;

- Strumienie, kanały, rzeki zataczające w terenie pętli o kształcie litery greckiej „omega”, zwłaszcza tam, gdzie jest ona otwarta od południa. Także linie wysokiego napięcia, gdy w terenie tworzą skrzyżowania podobne do takich pętli;

- Formy przestrzenne podobne do piramid, również o ściętych płasko wierzchołkach – ale tylko budowane sztucznie;

- Złoża samorodków metali, szczególnie złota.

Zauważono, że większość UFO pojawia się tam, gdzie w terenie występuje jednocześnie trzy lub więcej podobnych zależności.

Co udowodniły badania? Przede wszystkim wcale nie to, czego szukano. Ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że UFO pojawia się tam, gdzie podobne „zależności” powodują silne zaburzenia w rozkładzie naturalnych pól siłowych: elektrycznego, elektromagnetycznego, magnetycznego, nawet prawdopodobnie również grawitacyjnego. Mamy już teraz nieco rozszerzony rzut oka na to, co obserwuje się w momencie pojawiania się i „lotu” UFO w atmosferze. Wiemy już, jakie występują anomalie w polach siłowych, zauważamy, iż te nieznanne obiekty zachowują się czasami jak by były skonstruowane przez Johna Searla. Tak, ale... jego konstrukcje w niewytłumaczalny dla nauki sposób opuszczały naszą czasoprzestrzeń, przenosząc się „w niebyt”.

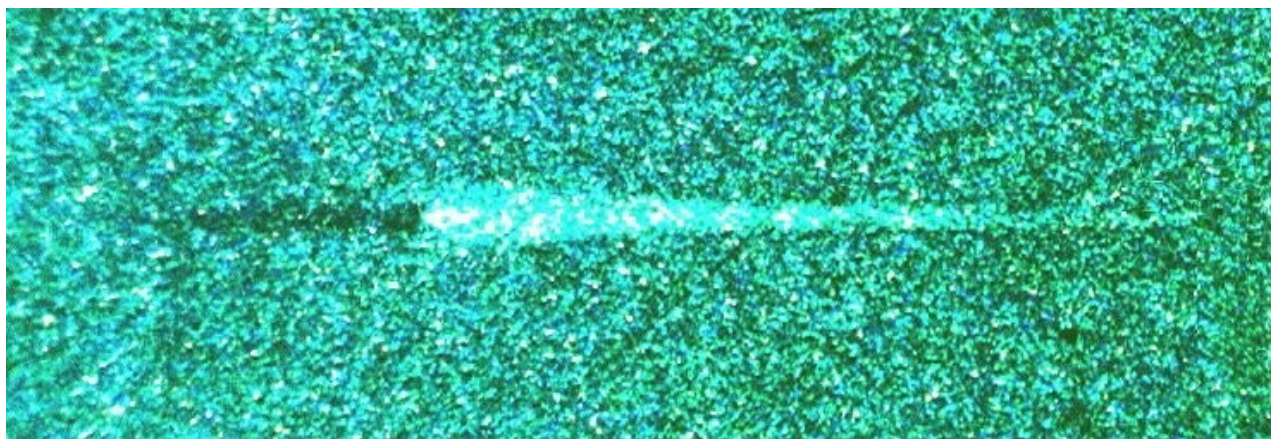
Zauważmy – dyski Searla bez żadnego własnego napędu zeskakiwały z pionowego rotora silnika elektrycznego i leciały wzwyż, jak wykazywały obserwacje nie tylko nie zwalniając swoich obrotów dookoła własnej osi, ale nawet przyspieszając. Nie posiadając żadnego widzialnego źródła mocy pokonywały jednak ziemskie pole grawitacyjne – zachowując się tak, jakby rzeczywiście latały za pomocą „antygravitacji”. I to wykonywały nie żadne UFO, ale obiekty skonstruowane ręką ludzką! Energia, jaką ze sobą niosły te dyski doświadczalne, musiała być jednak znaczna skoro zdarzały się przypadki rozbicia stropów hangarów, w których czyniono pierwsze doświadczenia... i ucieczki dysków w nieogarnioną przestrzeń.

Żaden z nich nie spadł na ziemię i nie wrócił...

Czy można się więc dziwić, że prowadzi się badania nad antygravitacją?

Może to określenie to tylko kamuflaż mający na celu zniechęcenie tych wszystkich, którzy stojąc na gruncie klasycznej wiedzy w zakresie fizyki, słysząc o czymś takim, tylko z kpinią nad naiwnością ludzką wzruszą ramionami?

Tu przypomina mi się zdjęcie wykonane silnym teleobiektywem z czasem naświetlenia paru minut, wykonane w roku 1982 przez jednego w pracowniów TV, ale całkowicie prywatnie. Zauważył on bowiem przez silną lornetkę dziwną „gwiazdę” o nietypowym kształcie – podłużną. Podłużna poziomo gwiazdka? To go mocno zainteresowało. A oto zdjęcie:



Rakieta stojąca w miejscu. POZA CZASEM?

Obraz tego zdjęcia pozwala nam na zauważenie, iż „nieznany obiekt” ma rzeczywiście kształt rakiety, ze statecznikami na końcu potrzebnymi do lotu w atmosferze, albo na trasie pomiędzy jonosferą a powierzchnią Ziemi. Za rakieta widać długi ogon pary wodnej, powstającej wskutek nałożenia się zjonizowanych cząstek na rozrzedzone, zimne resztki atmosfery na wielkich wysokościach. Tuż za tylną częścią tego obiektu widać gęstsze niż dalej wyrzucone zjonizowane gazy.

Fotografia wykonana z teleobiektywu 800 mm z czasem naświetlenia ok. 120 sekund, nie powstałaby, gdyby obiekt był w ruchu. „Rakieta” musiała stać w miejscu lub poruszać się z prędkością równą ruchowi obrotowemu Ziemi, co przy „kosmicznej” odległości od aparatu, wynosić musiało wiele tysięcy kilometrów na godzinę. Takich zaś raket, uzyskujących takie prędkości, jeszcze na Ziemi nie mamy. Kto zatem leciał nią?

Tło zdjęcia ma wygląd „morki”. To efekt bardzo dużego powiększenia obrazu, gdyż przy wykonywaniu go na slajdzie do światła dziennego o czułości 18 DIN/ok. 60 ASA, obiekt miał długość 1,5 milimetra.

Czytając o „rakiecie stojącej w miejscu” spójrzmy na jeszcze jedno dziwne zdjęcie, wykonane tym razem przez autora, za pomocą aparatu z teleobiektywem, ustawionym na statywie w czasie pełnego zaćmienia księżyca w dniu 16 września 1997 roku. Użyłem aparatu „Zenit T” z teleobiektywem 300 mm. Film barwny o czułości 800 ASA, czas naświetlenie 20 sek.

Rzecz polega na tym, że ten sam obiekt widziałem przez silną lornetkę 9 stycznia 1982 r., również w trakcie pełnego zaćmienia księżyca, ale z braku aparatu nie mogłem go sfotografować.



Nieznany obiekt z lewej strony kadru. Zaćmienie księżyca 16.09.1997 r.

Oglądając obiekt pod dużym powiększeniem widać, że jest on trójkątny z zaokrąglonymi narożnikami... to przesądza sprawę, to nie jest ani gwiazda ani satelita. W historii nauki i techniki zdarzały się już dziwne przypadki. Na przykład fama głosi, że „wynalezienie” tranzystora w roku 1957 nastąpiło po analizie kilku rozbitych w USA i w innych krajach dziwnych urządzeń znalezionych w UFO.

Czy wiecie, że podobnie mogło być z popularnym obecnie teflonem, tworzywem syntetycznym będącym przerobionym polifluorkiem winylu? Jest to dziwny plastik, odporny na wysokie temperatury, nie dający się zwilżać wodą ani tłuszczem, dzięki czemu nadaje się idealnie na... podklejanie nim płóz u nart, płaszczyzn dennych szybkich morskich łodzi wyścigowych i... do pokryć wahadłowców kosmicznych. Dzięki swej niezwilżalności, pojazdy zanurzone w wodzie lub poruszające się po śniegu, mogą uzyskiwać olbrzymie prędkości, gdyż te środowiska stawiają wówczas znacznie mniejszy opór i spada współczynnik tarcia. Temu też zawdzięczają nasze panie, że mogą teraz kupować patelnie do smażenia bez tłuszczu. Staje się on prawie niepotrzebny, gdyż wilgotne mięso czy jarzyny, dzięki nie przyjmowaniu wody przez teflon, nie przywierają do niego.

Obiekt, który w październiku 1981 roku „siadał” wprost na 12-letniego Tomka na warszawskim Czerniakowie był niewątpliwie materialny i w momencie stykania się swymi podporami z powierzchnią ziemi, oddziaływał bardzo silnie polem magnetycznym, czego efektem było sklejenie się narzędzi ogrodniczych, ale już w parę sekund po odlocie „rozmył się” i stał tylko różową chmurką na niebie...

Takich lub podobnych przypadków niezrozumiałego zachowania się UFO w pobliżu ziemi jest olbrzymia ilość. Właściwie zauważa się je w każdym przypadku pojawiania się UFO na powierzchni naszej planety czy w jej pobliżu. I za każdym prawie razem – pomimo drobnych lokalnych różnic – nie wiemy z czym się stykamy.

Szukając jakichś danych statystycznych, z badania których można by zacząć wysnuwać jakieś wnioski a operując już znaczą ilością przykładów – możemy się już pokusić o sporządzenie tabeli b a r w ś w i a t ł a emitowanych przez UFO. To pozornie banalne zestawienie okazać się może bardzo istotnym. A więc, jakie i w jakiej procentowej proporcji obserwuje się „UFO” na niebie n o c a ?

Poniżej podaję dane aktualne na koniec roku 2001:

<b>Białe</b>	<b>60%</b>
<b>Żółte, złote</b>	<b>8%</b>
<b>Czerwone</b>	<b>2%</b>
<b>Jasno niebieskie</b>	<b>2%</b>
<b>Szafirowe</b>	<b>2%</b>
<b>Fioletowe</b>	<b>0,5%</b>
<b>Czarne</b>	<b>8%</b>
<b>Wielobarwne</b>	<b>17%</b>
<b>Brązowe, piaskowe</b>	<b>0,5%</b>

Ponadto bardzo wiele przypadków obserwacji instrumentalnej – fotograficznej, radarowej, na video czy kamerą filmową – obiektów wzrokowo niewidzialnych, które jednak w specyficznych warunkach pozwalają na ich rejestrację.

Podaję tu kapitalny przykład dwukrotnego sfotografowania wzrokowo niewidzialnego UFO w lutym 1982 roku. Fotografował ufolog posiadający zamocowany na stałe aparat fotograficzny do rejestracji tego wycinka przestrzeni, gdyż zauważył, iż tam właśnie co jakiś czas pojawiają się dziwne zjawiska. Zdjęcie pierwsze – godz. 23.30 przez 12 minut, zdjęcie drugie – godz. 0.30, czas ekspozycji 12 minut. Oba zdjęcia wykonane w Warszawie.



Fot.1. UFO z nadprzestrzeni?



Fot.2. UFO w tym samym miejscu trwa nadal.

Na pierwszym zdjęciu, na środku kadru widać „prążek”. Tak fotografuje się duża gwiazda na niebie przy naświetlaniu 12 minut. Na drugim zdjęciu, prążek gwiazdy powędrował w górę na prawo. To znak, że minęła godzina.

Sceptykom powiem, że „lampa uliczna” stoi z lewej strony przy ścianie domu. Widać wzrokowo różnice wielkości jej i tego rozbłysku UFO. Przestrzeń z lewej strony rozbłysku spolaryzowała się,

co również jest efektem dodatkowej niezwykłości zdjęcia. Na tle tej polaryzacji, na drugim zdjęciu, widzimy też „pręgę” w czarnej barwie, to ORANUR, tajemnicze promieniowanie pojawiające się często w pobliżu UFO.

Fotografując w miejscach, w których wielokrotnie dochodziło do zauważenia jakichś dziwnych zjawisk, niekoniecznie na pierwszy rzut oka mających związek z UFO – czasami udaje się uchwycić coś przedziwnego. Szedłem ulicą, tą samą, którą widać na powyższych zdjęciach, ale ponad 6 lat później, bo 15 sierpnia 1984 roku. Była już dość późna godzina wieczorna, gdy nad jednym z domów zobaczyłem słabe błyski w złocistym kolorze, ale wcale nie podobne do jakiegoś obiektu. Miałem przy sobie dość dobry aparat z założonym slajdem do zdjęć dziennych. Nie wiele więc myśląc wykonałem jedno zdjęcie z czasem naświetlenia 1/30 sek. i otwarciem obiektywu na „2”. Okazało się, że na niebie były nie tylko „słabe błyski”, ale coś znacznie dziwniejszego, patrz zdjęcie poniżej.



3+1 UFO na niebie. (K.Bzowski)

Zielonkawe tło nieba jest wynikiem użycia slajdu, przystosowanego do światła dziennego. Z pozytywu (slajdu) obraz został przekopiowany poprzez nasadkę do kopiowania negatywów i slajdów w skanerze, stąd zachowana jest ta barwa nieba. Na niebie widać trzy obiekty jeden tuż obok drugiego oraz czwarty nieco dalej od pozostałych. To jednak wcale nie musiały być „4 UFO” lecz jeden obiekt, który przez czas równy 1/30 sekundy poruszał się ruchem skokowym i do tego nierównomiernym w przestrzeni.

### **Czyżby próba kontaktu?**

Dziwny test postawiono przed nami 21 lutego 1982 roku. Miało to miejsce w Warszawie. Był wówczas początek stanu wojennego i mieszkańcom Warszawy nie w głowie były kontakty z UFO. Działała już wówczas mała grupka zapaleńców, zwolenników badania UFO i wszelkich związanych z nim zależności. Tego dnia po bardzo mroźnej nocy, gdy temperatura spadła do minus 17 stopni Celsjusza, ktoś przechodzący skrajem jeziora Czerniakowskiego w południowej dzielnicy Warszawy, zauważył na powierzchni lodu dziwne okrągłe otwory. Było to tym dziwniejsze, iż panujące od kilku tygodni mrozy spowodowały, iż lód miał 35 cm grubości, tymczasem widać było w ich obrębie ciemną, a więc płynną wodę.

Już po paru godzinach przystąpiła do pracy na jeziorze grupa ufologów – nie podejrzewająca

zresztą, by otwory te były dziełem UFO. Było to jednak coś dziwnego, co trzeba było zabezpieczyć, zanim przyjdzie odwilż, stopnieje lód i te dziwne twory znikną.

Pierwsze wstępne ustalenia pozwoliły na zanotowanie pierwszych danych:

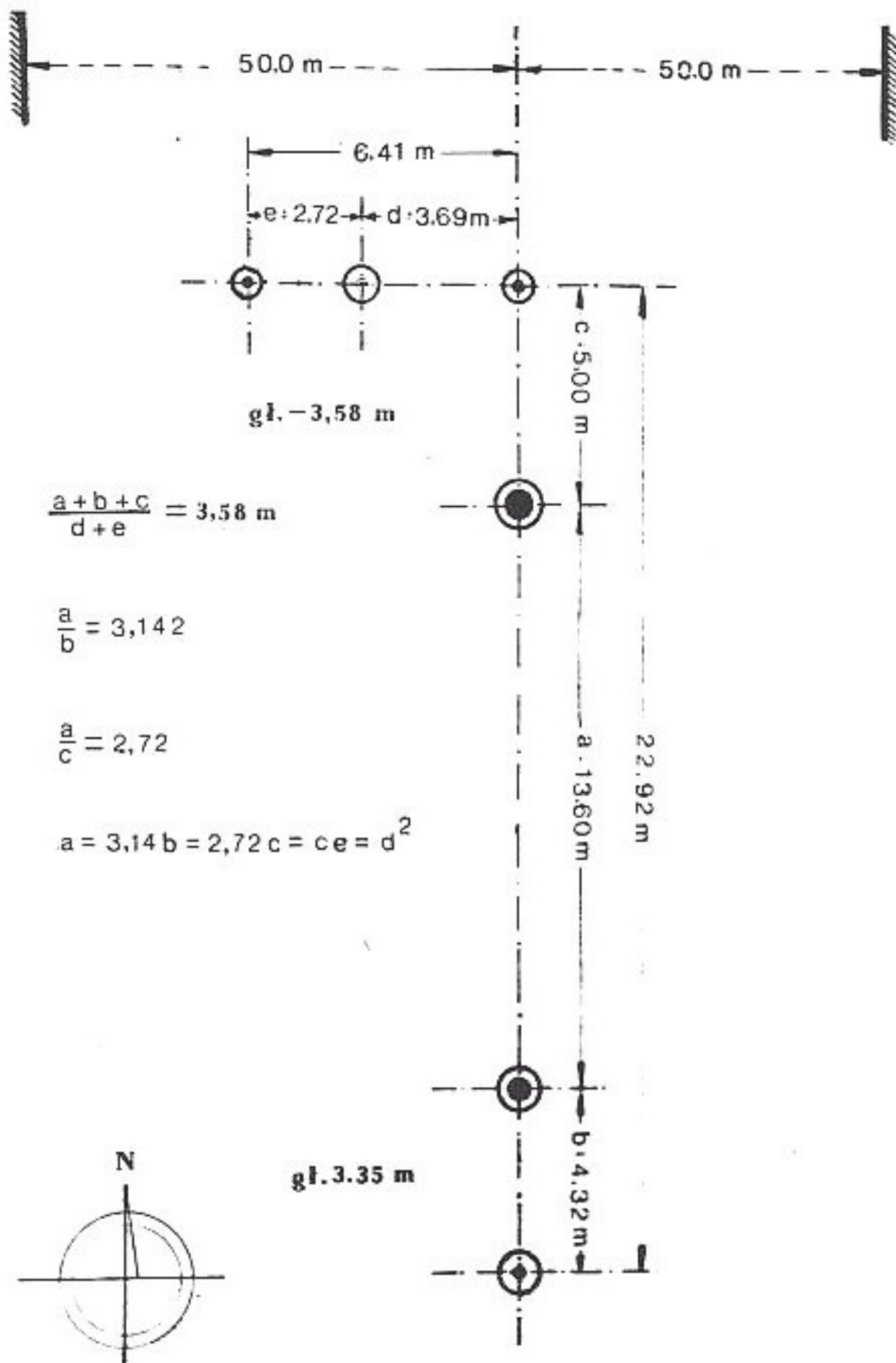
Otworów w lodzie było sześć. Ich rozkład tworzył jakby literę „L”, zwróconą dolną poprzeczką prostopadle do kierunku północnego. Dłuższa linia tego układu leżała ściśle wzdłuż osi podłużnej jeziora, z północy na południe, przy czym biegła ona na samym środku jeziora, 50 m od brzegu wschodniego i 50 m od zachodniego. Jezioro miało w tym miejscu dokładnie 100 m szerokości. Sześć otworów przy bliższym ich zbadaniu posiadało następujące proporcje pomiędzy sobą (patrz szkic ich rozmieszczenia). I tak:

- Odcinki („a” + „b” + „c”) : („e” + „d”) = 3,58;
- Głębokość wody w otworze narożnym układu = 3,58 m;
- Głębokość wody w odcinku „b” = 3,35 m;
- Odcinek „a” : „b” = 3,14 (w przybliżeniu wartość „pi”);
- Odcinek „a” : „c” = 2,72 (wartość podstawy logarytmu naturalnego);
- Odcinek „c” x odc. „e” = odc. „d” podniesiony do kwadratu;

Otwory były dziwne: widać było niezbyt regularne okrągłe otwory z ciemną, nie zamrażającą wodą. Zmierzono ich temperaturę – wynosiła ona +4 st.C.

Temperatura lodu wokoło otworów, w miejscach gdzie był on gruby na 35 cm, po wywierceniu w ich otworów do włożenia termometru – minus 16 st.C.

Nie było logicznej podstawy, by woda wewnątrz otworów miała temperaturę powyżej zera Celsjusza!

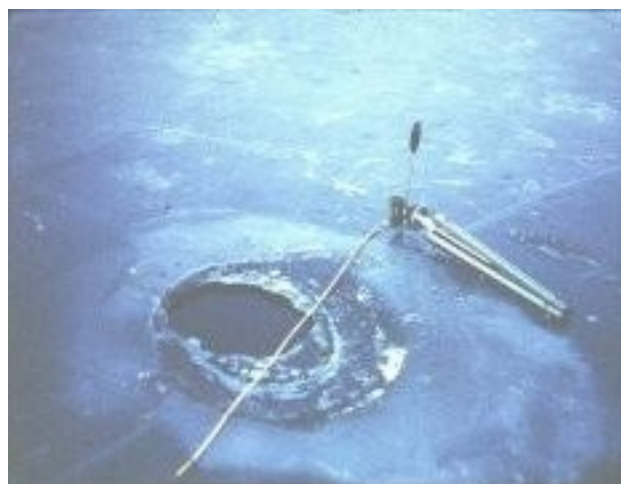


Schemat dziurek w lodzie, luty 1982 roku.





Dziurka w lodzie.



Inna dziurka w lodzie.

Z wnętrza wszystkich otworów, a najwięcej z otworu narożnego co 20- 30 sekund wydobywały się z wody bąble jakiegoś gazu, wędrujące z głębi wody i mające średnicę piłki tenisowej a co kilka-kilkanaście mniejszych „bąbli” jeden-dwa znacznie większe. W zapadającym zmroku usiłowano podpalić ewentualny gaz, podejrzewając, że może to być gaz błotny z zawartością metanu, ale „bąble” nie dawały się podpalić trzymaną tuż nad wodą zapalniczką. Zmierzono głębokość wody w otworze narożnym i stwierdzono, iż jest tam 3,58 metra. Stwierdzono też, iż dno nie jest muliste. Dopiero w lipcu 1982 roku nurkując w pobliżu tego miejsca zbadano, iż dno na dużym obszarze jest piaszczyste i twarde.

Badacze, inż. elektryk Paweł Ż. i fizyk Michał G., nie bacząc na mróz, zakasali rękawy i badali dotykiem lód od spodu w miejscach, gdzie na zdjęciach jest on jaśniejszy. Stwierdzono, iż lód w tych miejscach posiada kształt rozległej „miski” kształtu półkolistego, zaś otwory wypadają w tych miejscach, gdzie ta miska „wystawałaby nad powierzchnię lodu”. Wyglądało to tak, jakby jakieś niematerialne, ale ciepłe kule wytopiły lód od spodu. Przy czym fakt, iż woda w otworach była cieplejsza od otoczenia aż do 26 lutego 1982 roku, sugerował by, że ta „niematerialna ciepła kula” była tam przez cały czas.

Badania w terenie trwały tam od popołudnia 21 lutego do popołudnia 26 lutego. W międzyczasie nocami temperatura opadała nawet do minus 20 st. Celsjusza, a woda w otworach nie zamarzała.

Zamarzła natomiast natychmiast 26 lutego ok. godz.16.00, gdy badacze zeszli z lodu z konkluzją „koniec badań”! Początkowo nie było podstaw do łączenia tego ewenementu z UFO. Jednak po kilku dniach dostaliśmy z wywołania slajdy, wykonane w trakcie ustaleń na lodzie, i wówczas okazało się, że pierwszego dnia tj. 21 lutego nieopodal komina Elektrociepłowni Siekierki, która leży o 1 kilometr na wschód od jeziora, sfotografowano dwie czarne kule, których wzrokowo nikt z nas nie obserwował. Podobne kule fotografowano również nocą w tym rejonie wielokrotnie, ale wówczas jarzyły się one czerwonym światłem z jaśniejszym środkiem lub też kolorem zielonkawym z żółtym rdzeniem. Ich wielkość w stosunku do punktów odniesienia wynosiła od 1 m do 4 m średnicy. „Otwory w lodzie” wykryte zostały 21 lutego 1982 r. Natomiast poprzedzającej nocy, bo z 20 na 21 lutego około północy, a więc około dziesięciu godzin wcześniej zanim je odkryto, dwóch badaczy, ten sam inż. Paweł Ż. i Marcin Jezierski sfotografowali z mostu na jeziorze szereg takich kul.



Cztery UFO na niebie... luty 1982 roku.

Zdjęcie to, datowane 20 lutego 1982 r., zostało zamieszczone w mojej książce pt. „Sieć Wilka”, na wkładce barwnej po stronie 78. Jednakże tej samej nocy 20 lutego 1982 roku wykonano więcej zdjęć, i teraz pokazujemy jedno z nich. Są na nim cztery świecące kule na tle nieba, natomiast czerwony duży punkt z ich lewej strony i nieco niżej od ciągu „kul”, to po prostu czubek komina elektrociepłowni w Kawęczynie pod Warszawą, będący akurat w trakcie budowy (patrz zdjęcie powyżej).

Zaskakującym spostrzeżeniem jest, iż kształt odwróconej litery „L” przypomina jedną z „run” starogermańskich. Jest to runa zwana „Laukaz” i w numeracji run oznaczona jest jako czternasta.

Starogermański tekst przypisany do tej runy mówi: „Czternastą znam, umiem ludziom wyliczyć rozmaitych bogów. Wiem wszystko o Asach i Alfach. Mało kto z pośród mądrych to wie”. Nasuwa się tu dziwne przypuszczenie: czy to tylko „przypadkowo” najstarsza karta w talii to „As” (a nikt

nie wie, co by to oznaczało). Czy przypadkowi należy przypisać synonim „ALF” stosowany w USA do oznaczania przedstawiciela obcej cywilizacji? Wprawdzie wielu tłumaczy to na *alien life form* (obca forma życia), ale może pierwotne znaczenie było inne? Czy tekst zakodowany w tej runie jest może sprawdzianem inteligencji ludzi, którzy dotrą do tego dziwu na lodzie i we właściwy sposób rozpoznają go?

Czemu więc „ktoś z kosmosu” miałby wykonywać to właśnie w Warszawie, nocą w odludnym miejscu, jakim jest jezioro Czerniakowskie?

A może... wybrano właśnie takie miejsce nieuczęszczane przez tłumy, a tylko przez nielicznych. Wybrano termin początku stanu wojennego specjalnie, trudny do podejmowania jakichkolwiek badań terenowych. Po umożliwieniu sfotografowania całej eskadry „UFO” nocą pokazano jakimi możliwościami „oni” dysponują, a jednocześnie, abyśmy mogli się zorientować, że to nie jest przypadek, podali nam zakodowane podstawowe pojęcia matematyczne i wymiary „wykresu na lodzie” dostosowali np. do głębokości wody w tym miejscu.

Cały układ otworów w lodzie, powstałych nocą z 20 na 21 lutego 1982 roku, znajduje swoje odzwierciedlenie w części układu gwiazdowego Wielkiej Niedźwiedzicy. W układzie tym, oprócz gwiazd widzianych gołym okiem, są i tak małe, które można obserwować przez teleskop, a także poznać je w precyzyjnym komputerowym programie astronomicznym. Są to:

- ALULA AUSTRALIS, wielkość gwiazdowa – 3,79;
- ALULA BOREALI, wielkość gwiazdowa – 3,49;
- X URSAE MAIORIS, wielkość gwiazdowa – 3,70;
- PHECDA, wielkość gwiazdowa – 2,4;
- MERAK, wielkość gwiazdowa – 2,35;
- 36 URSAE MAIORIS, wielkość gwiazdowa – 4,83.

Czemu piszemy o tym dopiero po dwudziestu latach od zaistnienia tego „testu inteligencji”? No cóż, trzeba było czekać aż technika komputerowa pozwoli nam sprawdzić wszystkie układy gwiazdne, widziane wokoło całej kuli ziemskiej w nocy z 20 na 21 lutego 1982 roku.

## **Rozdział IV**

### **Mało znane polskie lądowania**

#### **UFO na polu kapusty 3/4.09.1984 rok**

Wychodząc wczesnym rankiem z psem na spacer zauważyłem, że jakiś kierowca z jednego z sąsiednich domów z zapalonym swoim Fiata-125, z zajęciem trąc namydloną szmatą niektóre miejsca karoserii, położone na górnych jej płaszczyznach, klnąc przy tym całkiem niewybrednie.

– No spójrz pan, co za draństwo, to się chyba nie da zmyć! – wykrzyknął, widząc moje maskowane zainteresowanie. Od słowa do słowa opowiedział mi wszystko.

„Poprzedniego dnia, późnym wieczorem, właściwie już nocą, wracałem z żoną i dwoma synami z województwa lubelskiego z wakacji w stronę szosy położonej równolegle do Wału Miedzeszyńskiego. Jest to wał przeciwpowodziowy, ciągnący się od strony Świdra aż do środkowych części Pragi, dzielnicy Warszawy, położonej na prawym jej brzegu. Około w pół do dwunastej w nocy rozszalała się potężna burza z piorunami, a my w tym czasie dojeżdżaliśmy już do Józefowa (miejscowości położonej kilkanaście kilometrów na południowy-wschód od granic miasta). Nie przeszkadzało to nam za bardzo, strugi lejącej się z góry wody wymyły nam tylko bardzo dobrze samochód. Ruch o tej porze na szosie był właściwie żaden tak, że bez większych

emocji dojeżdżaliśmy już do miejsca, gdzie jeden z odcinków szosy skręca już na ulicę biegnącą równoległe do Wału. Właściwa burza przesunęła się już na północ, nad Pragę i nad Warszawę, a u nas kończył się już deszcz, a błyskawice i pioruny były już nad miastem. Byliśmy już na drodze za wałem, gdy nagle z góry, nie wiadomo skąd, nad nas nasunęło się coś przerażającego. To wyglądało jak nieco spłaszczona kula, świecąca ostrym fioletowym światłem. Jej średnica mogła wynosić kilkanaście metrów i wisiała nad nami tak z dziesięć metrów wyżej.

Zgasł nam silnik, przestały się świecić reflektory, zamilkło radio a nas sparaliżowało ze strachu!

Siedziałem za kierownicą i nagle zobaczyłem coś jeszcze dziwniejszego... po masce samochodu zaczęły skakać pionowe języki żółto-fioletowego ognia. Zatrzymywały się na sekundę lub dwie w jednym miejscu, przeskakiwały kilkanaście centymetrów obok... i wydawały przy tym »potrzaskiwanie«. Miały po 20, 30 centymetrów wysokości i było ich jednocześnie kilkanaście.

Gdy ta spłaszczona kula nagle przesunęła się nad wał, od nas kilkanaście metrów w bok, zobaczyliśmy, że z jej dna bije w dół słaba poświata tej samej barwy co te ogniki: fioletowa i żółta zarazem. Gdy kula minęła koronę (szczyt) wału i zaczęła się tam zniżać – wróciła sprawność silnika samochodu, zapaliły się reflektory, zagrało radio a wóz ostro szarpnął się do przodu. Pojechaliśmy dalej, chcąc jak najprędzej dojechać do domu”.

Słuchałem jego wywodów z rosnącym zainteresowaniem, i gdy powiedział o tym zgaśnięciu silnika a później o poświacie bijącej z dna obiektu – nie miałem już wątpliwości: to mogło być UFO! Niestety, tego dnia rankiem, 4-go września 1984 roku miałem już początki grypy i doszedłem do wniosku, że co innego wyjść z psiakiem na kilka minut na dwór, a czym innym jest kilkugodzinne badanie terenu, chodzenie „gdzie diabeł mówi dobranoc”, zdając sobie sprawę, że po nocnej ulewie tereny po drugiej stronie Wału Miedzeszyńskiego stanowią prawdopodobnie morze błota.

Zatelefonowałem więc natychmiast, wyciągając z łóżek paru znajomych ufologów, i już o godzinie dziewiątej rano, a więc w 9 godzin po incydencie, zespół badawczo-operacyjny warszawskich ufologów był na miejscu zdarzenia. Brały w nim udział trzy osoby: badacz-radiesteta Miłosław Wilk, fizyk p. M. Gros oraz elektronik p. Dariusz C.

Już poprzednio, wstępnym przypuszczeniem pojawienia się ogników na karoserii, było podejrzenie pojawienia się tzw. „ogni świętego Elma”, wyładowań w silnym polu elektrycznym. Był jednak objaw, który zaprzeczał takiej możliwości, a było nim niezrozumiałe zatrzymanie się silnika samochodu, systemu elektrycznego i radia. Kolejną niezwykłością przemawiającą za pojawieniem się UFO, był fakt zauważenia snopa promieniowania, wydobywającego się z dna obiektu o tych samych barwach co i ogniki. Ich obecność na karoserii spowodowała zmianę barwy emalii, z jasnożółtawej na szarostalową.

Jeszcze zanim zdecydowałem się zwołać kolegów badaczy, dokładnie obejrzałem te uszkodzenia emalii. Nie miałem w domu żadnych przyborów pomiarowych za wyjątkiem, dobrego zresztą, kompasu geodezyjnego. Zdziwiło mnie, że położony na takiej „plamie” zachowywał się jakby był w ogóle poza jakimkolwiek polem magnetycznym, jego wskazówka zachowywała się bezwładnie. Gdy delikatnie wspomniałem właścicielowi, że warto by przeprowadzić jakieś bardziej szczegółowe badania – spotkałem się z ostrym sprzeciwem, na który nie było dyskusji, bowiem mój niefortunny sąsiad-kierowca był wyższym funkcjonariuszem Milicji. Jak sam stwierdził „ja tam w żadne UFO ani tam takie nie wierzę”, pomimo, że przed paru godzinami to „dziwne zjawisko” napędziło mu potężnego stracha.. Dobrze chociaż, że na planie miasta dokładnie określił miejsce, gdzie fioletowa kula ich zatrzymała i gdzie sama zaszła za wał.

Badania terenowe wykazały następującą sytuację: na tym odcinku wał wiślany odległy jest od brzegu Wisły o trzysta metrów. Ziemia tam, wskutek częstych wylewów na tym obszarze rzeki i nanoszonego żyznego mułu, jest bardzo dobrej jakości i cenna dla rolników. Nic więc dziwnego, że wówczas uprawiała ją jakaś tamtejsza spółdzielnia rolnicza. Gdy trójka ufologów dotarła na to miejsce już o godzinie dziewiątej rano, zastano tam kilka kobiet w waciakach i gumowych butach, pilnie pracujących na okolicznym polu kapusty, która bardzo obficie obrodziła. Na polu okolicznym, uprawianym widocznie tylko od czasu do czasu, gdzieniegdzie rosły spore kępy

krzaków dzikiej róży i dzikiego bzu. Tu stwierdzono, że w pobliżu grupy pracujących ludzi rośnie właśnie taki duży krzak róży, ale jest w dziwny sposób nadpalony. Zwęglone są tylko górne partie gałęzi i liści, boki i dół kępy są nietknięte ogniem, natomiast ziemia wokół, na dystansie kilku metrów wokół calizny kępy, wygląda jak szerniała, spalone były wszystkie chwasty i trawa rosnąca tam a także jakieś puste pudełko po papierosach było tylko zwęglonym szczątkiem.

Prawdopodobnie słupek promieniowania uderzył z góry na ten krzak i nadpalił go w ten sposób. Oddziaływanie musiało być krótkotrwałe, bo krzak nie stanął w ogniu i nie zapalił się, był zresztą bardzo zmoczony po ulewie.

Pan D.C., który już niejednokrotnie stykał się z miejscami, w których lądowało UFO, wykonał prostą, ale skuteczną próbę: wziął w dłonie garść zwęglonej trawy z tego miejsca, a właściwie mokrej papki czarnej barwy. Roztarł ją w dłoniach, strzepnął i... prawie cała ilość czarnej mazi odpadła od skóry a wewnętrzna powierzchnia dłoni pozostała prawie czysta.



Ufolog Dariusz C. przy zwęglonym śladzie na polu kapusty.

Tym samym przy rozcieraniu jej w dłoniach nie barwiła jej i łatwo odpadła z ciała. Ten efekt jest często notowany w miejscach, w których ląduje UFO, ale stopniowo zanika on i gdyby ufolodzy przybyli tam nie rankiem tego dnia a wieczorem, już by to nie wyszło. Polega on na zmianie tak zwanego „napięcia powierzchniowego wody”, bardzo silnego jego wzmocnienia, w wyniku czego taka woda nie zwilża np. „ludzkiej skóry”. Pod wpływem dziwnego pola siłowego, otaczającego UFO właśnie w takim przypadku niespodziewanie w silnej formie pojawia się ten efekt w wodzie, na którą padnie słupek promieniowania z dna UFO. Stwierdzenie tego pozwala na uzyskanie absolutnego potwierdzenia: tak, tu było UFO.

Obecni w tym miejscu ufolodzy wykonali kilka zdjęć, niestety na kiepskim filmie czarno-białym i w niezbyt sprzyjających warunkach oświetleniowych. Dzięki temu jednak możemy pokazać archiwalne zdjęcie tam wykonane. Obok nadpalonego krzaka stoi pan D.C.

### **Co latało nad Górą Kalwarią w 1998 roku?**

Grupa warszawskich ufologów pracujących nad rejestracjami niezwykłych zjawisk, z których wiele nosi charakter pojawień się UFO, zauważyła przez okres dwudziestu lat, to jest od 1981 do końca 2001 roku (a sporadycznie nawet bierzemy pod uwagę UFO nad gettem z 1943 roku), że pojawienia te znacząco częściej pokazują się nad doliną rzeki Wisły, przy czym wybierają często następujące tereny:

Ścisłe w pobliżu obecnego przepływu tej rzeki, w obszarze tak zwanego „starorzecza”, to jest po jej lewej stronie biegu, pomiędzy nurtem obecnym a tak zwaną „skarpią mokotowską”. Skarpa ta stanowi uskok geologiczny, podziemne przesunięcie się pod ziemią dwóch płyt geologicznych.

Różnica poziomów powierzchni wody w rzece a terenem, na którym położone jest śródmieście Warszawy sięga trzydziestu metrów. Ten wysoki lewy brzeg rzeki ciągnie się od Nowego Dworu i Modlina na północy do Kozienic na południu, na dystansie w linii łamanej około 150 km.

Niezależnie od tych nadrzecznych terenów UFO „preferuje” tereny, w których egzystują silne źródła napięcia elektrycznego, ale nie tylko. Również źródła wysokich temperatur, a także tereny zasobne w duże ilości ferromagnetyków i żelaza. Również do swych odwiedzin w Warszawie, UFO wybrało sobie piramidę ze ściętym wierzchołkiem, czyli „górkę Czerniakowską”.

Zauważmy, że powyższe szczegóły terenowe, pokrywają się z badaniami psychologa, prof. Persingera z Kanady. Wydaje się, że to nie jakieś walory krajobrazowe ściągają w te okolice UFO, lecz fakt, iż konkretne warunki geofizyczne tych miejsc powodować mogą słabe, ale rozległe anomalie lokalnych pól siłowych.

Ciekawym wydarzeniem ufologicznym, które chcę przedstawić moim Czytelnikom, jest długotrwałe i wielokrotne pojawianie się UFO w rejonie małego miasteczka położonego 27 km na południe od granic Warszawy. Chodzi tu o Górę Kalwarię.

W ostatnich latach nazwa tego miasta mało mówi mieszkańcom naszego kraju. Co innego przed II wojną światową. Tu leżał jeden z centralnych punktów wyznawców mojżeszowych czyli żydów. Tu była siedziba sławnego na cały świat Cadyka, jakby zwierzchnika duchowego dla wyznawców tej religii. Mało kto pamięta obecnie, że jedyna przed ostatnią wojną prywatna linia autobusowa należąca do gminy żydowskiej, wiodła z warszawskiej ulicy Nalewki wprost do tego miasteczka, bez zatrzymywania się po drodze.

Niewielkie to miasto obecnie posiada około 12 tysięcy mieszkańców. Położone jest na skraju wspomnianego uskoku geologicznego, który leży na jego wschodnich krańcach.

W wybranym dobrze miejscu, na tyłach zespołu szkół, jednocześnie z tyłu za lokalnym kinem, wybudowano nawet taras widokowy okolony balustradą, skąd rozciąga się piękny widok na dolinę Wisły i dwa mosty: kolejowy bardziej ku północy pola obserwacji i drogowy, na trasie wiodącej ku Mińskowi Mazowieckiemu, położony nieco na południe. Przypadek ten należy do jednego z najlepiej zbadanych w ostatnim czasie przez grupę ufologów warszawskich, kierowaną przez autora.

Cofnijmy się do początku stycznia 1998 roku.

Turysta jadący samochodem od strony Warszawy przez podmiejski Konstancin, znany z dobrego powietrza i posiadający niezwykle tężnie, po minięciu małej miejscowości o nazwie Łubna, która posiada największe na Mazowszu wysypisko śmieci, zupełnie nie pasujące do uzdrowskiego charakteru pobliskiego Konstancina, dojeżdża do Góry Kalwarii i jadąc dalej ul. Szpitalną trafia w początek ul. Ks. Sajny. Tam bez trudu dojedzie do jedynego miejscowego kina. Z niego właśnie około godziny 23.20 wychodziło dwóch młodzieńców, 17-letni Andrzej (imię zmienione) i jego kolega Krzysiek. Była to noc z 4 na 5 stycznia.

Pomimo lekkiego mrozu niebo było czyste. Chłopcom nie śpieszyło się zbytnio do domu, skręcili więc za róg kina w wąską dróżkę, wiodącą ku tarasowi widowskowi, zbudowanemu na skraju skarpy, skąd rozciągał się zawsze piękny widok na dolinę Wisły, odległej stamtąd o 1600 metrów. Teraz, w nocy, nie spodziewali się ujrzeć czegokolwiek więcej ponad dalekie światła odległych miejscowości na horyzoncie i ewentualnych podobnych na moście kolejowym na północ od tego tarasu. Od tego momentu dalszy ciąg tego co stało się w rejonie Góry Kalwarii czytamy z obszernego pliku „Karty Obserwacji UFO Nr 2/98”.

Gdy chłopcy, samotnie zresztą, stali na tarasie na skarpie, a była wówczas godzina 23.30, ujrzeli nagle, że od strony południowej, około stu metrów nad ziemią a biorąc pod uwagę wysokość skarpy wynoszącą ok. 30 m nad okolicznym terenem i z przewyższeniem nad nimi, około siedemdziesięciu metrów, przeleciały jeden za drugim trzy dyski, wydawające się mieć po około dwanaście metrów średnicy.

– Co czułeś w tym momencie? – pytam „świadka”, bo tak dalej nazywać będę Andrzeja.

– Byłem jak zdrtwiał, nie wiem czy ze strachu, czy też te obiekty tak na nas oddziaływały. Krzysiek miał w kieszeni małą lornetkę teatralną, z którą byliśmy w kinie. Teraz wyjął ją i nastawił

w kierunku jednego z obiektów, które mijają nas w ciemnościach, lekko połyskując srebrzystą powierzchnią. Były w tym momencie nie dalej niż 80 do 100 metrów przed nami w poziomie.

– O rany! To nie ma skrzydeł! – posłyszał świadek, zdławiony z emocji głos Krzyśka.

Dokładny wygląd obiektów (spisany słowo po słowie z odpowiedniej dokumentacji):

„Dwa talerze nałożone na siebie”, w dnie obiektu część świecąca inaczej niż reszta obiektu, matowo-srebrzyście. Pozostała powierzchnia świeciła oślepiająco. Wokoło górnej części poziomo rozciągał się łańcuszek czerwonych światełek. W czasie ruchu obiektu po linii poziomej te światełka migotały na przemian linią ciągłą.

Chłopcy, po przelocie obiektów wpadli w panikę i wybiegli prędko na ulicę. W tym momencie świadek przypomniał sobie, że ma w kieszeni mały automatyczny aparat fotograficzny *Minolta*. Zatrzymał się więc i odwrócił, patrząc w stronę skąd przybiegli. Mieli „szczęście”, na pewnej wysokości leciał kolejny podobny obiekt, lecz z o wiele większą prędkością niż poprzedni. Widać go było też wyżej, pozornie wydawał się być wyżej niż dach budynku szkolnego, stojącego obok kina. Bez namysłu wyjąwszy aparat zaczął „pstrykać” raz po raz w stronę obiektów. Niestety, ze względu na brak świecenia ich powierzchni, nie był w stanie uchwycić tak słabym aparatem i na filmie nie przystosowanym do zdjęć nocnych.

Jest jednak jedno zdjęcie, ciągu kolorowych światełek na niebie, opublikowane w mojej książce „Sieć Wilka”. Wykonane zostało innej nocy.

Jak zeznali świadkowie, w momencie pierwszego zauważenia UFO, gdy byli jeszcze na skarpie, dawał się wyczuwać zapach, ciągnący się od strony przelatujących obiektów. Określili go jako „podobny do zgnilizny i zgniłych jaj jednocześnie”. Biorąc pod uwagę, że był to styczeń, nie było możliwym, by zapach dochodził od nizin zalewanych często przybierającą Wisłą i tworzącymi się tam gdzie-niegdzie procesami gnilnymi. Możliwym jest natomiast, iż powonienie ich wychwyciło ślady tlenków azotu i ewentualnie ozonu, powstającego z powietrza atmosferycznego w momentach wyładowań elektrycznych. Takie wyładowania są rzeczywiście możliwe w momencie szybkiego przelotu UFO w atmosferze, nie powstają natomiast przy locie obiektów zbudowanych na Ziemi, np. samolotów tłokowych czy nawet odrzutowych.

Świadek zapytany (stereotypowym pytaniem zadawanym zawsze w takich okolicznościach) „czy zauważył jakieś anomalie w pracy urządzeń elektrycznych?”, odparł całkiem przytomnie, że przecież wykonywał zdjęcia *Minoltą* z napędem elektrycznym, a ona działała bez zarzutu.

Gdy po wieczorze pełnym emocji dobiegł do domu oddalonego niecałe pół kilometra dalej i położył się spać, miał sny że jest w jakimś pomieszczeniu i słyszy piski, trzaski, zgrzyty, widzi jakieś czarne postacie, wyglądające jakby „smugowato”. Obudził się kompletnie rozbity, zmęczony i niewyspany.

Podobne, lecz bardziej fragmentaryczne pojawianie się UFO nad doliną Wisły w styczniu 1998 roku, miały jeszcze miejsce w dniach 11-go, 15-go i 18-go owego miesiąca. Dziewiętnastego świadek zatelefonował z poczty (w domu nie ma telefonu) do redakcji jednego z miesięczników, skąd wiadomość przekazano do mnie.

Zorganizowano wyjazd w dniu dwudziestego czwartego stycznia i na miejscu okazało się, że w międzyczasie kilku mieszkańców Góry Kalwarii widywało błyski obiektów przelatujących dość nisko wzdłuż Wisły, zawsze z południa ku północy, ale samych obiektów nie widzieli, gdyż patrząc z bardziej oddalonej dzielnicy widoczność zasłaniały im wysokie domy. Przed obserwacją z dnia 4/5 stycznia owego roku, jak się okazało, matka świadka, p. Alina, około godziny osiemnastej na ciemniejszym niebie, na południe od ich domu, za koszarami wojskowymi, widziała na niebie identyczny obiekt jak i te, co były za skarpą. Nie uznała za stosowne powiadomić o tym nikogo z rodziny, gdyż nigdy o czymś takim nie słyszała i nawet nie bardzo wiedziała jak to określić.

Piętnastego stycznia, około godziny szesnastej, cała rodzina, „świadek”, jego dwudziestoletnia siostra, ojciec i matka znajdowali się w domu, gdy około godziny szesnastej za koszarami leżącymi na południowo-wschodnim skraju miasta, na niebie coś oślepiająco błysnęło na zupełnie czystym niebie. Błysk nie zniknął i trwał w czasie kilku sekund, zanikając stopniowo. Pozostał po nim na tle nieba jakby cień, nieco ciemniejszy od tła nieba, ale prawdę mówiąc mógł to być tzw. „powidok”, reakcja oczu, oślepionych niezwyklej jasności światłem. Jeżeli jednak powidok wystąpił, to musiała

poprzednio zaistnieć realna przyczyna, która go wywołała. Nie było to zatem przywidzenie.

Świadek, podówczas prawie osiemnastolatek, na ten widok dostał czegoś w rodzaju szoku, co wydawało się dziwne rodzicom, którzy tylko coś-niecoś wiedzieli z poprzednich kontaktów tego chłopca z UFO. Chłopak zrobił to, co byłoby normalnym u kilkulatka, ale wydawało się dziwnym u prawie dorosłego chłopaka: wskoczył siedzącemu ojcu na kolana zwiłając się w kłębek i trzęsąc się ze strachu. Wcale mu się nie dziwię, widywałem jeszcze bardziej drastyczne reakcje ludzi na widok UFO...

Gdy po chwili wszystko zniknęło z nieba, odezwał się: „Czuję, jakby mi mózg zaczął na nowo pracować”.

Co miał oznaczać mimowolnie użyty zwrot: „na nowo”? Czyżby do tego momentu, od nocy z 4/5 stycznia był jakiś stały a nie uświadamiany kontakt z nim?

Czy ten ogromny błysk na niebie byłby „odlotem” tego obiektu, który był w pobliżu od owej nocy do tego dnia? Odpowiedzi na to nie znajdziemy...

Dopiero gdy nasza grupa operacyjna przybyła 24-go stycznia do Góry Kalwarii, chłopak przyznał się, że jedenastego, a więc przed pojawieniem się tego błysku na niebie, poszedł samotnie na taras również o zbliżonej godzinie co i za pierwszym razem, to jest nieco po jedenastej wieczorem. Chwilę czekał, aż nagle bardzo wysoko na niebie, chłopiec określił to „z kilometr wysoko”, wydaje mi się że znacznie wyżej, pojawił się mały dysk, identyczny jak za pierwszą obserwacją, który tkwił nieruchomo na wysokości. Niżej zaś, nie wiadomo skąd, pojawiły się trzy takie same. Dwa z nich krążyły w okolicy Wisły, odległej o ponad półtora kilometra od skarpy, jeden zaś lecąc nie wyżej niż pięćdziesiąt metrów nad doliną Wisły, a zatem zaledwie dwadzieścia metrów nad skarpą, zaczął się do niej szybko przybliżać. Doleciał tak nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od niej, znów lekko zniżając się, także był prawie na poziomie skarpy. Wolno podlatywał w stronę świadka, stojącego w osłupieniu. Wydawało mu się, że UFO chce nawiązać z nim kontakt.. Dopiero, gdy obiekt zbliżał się, zauważył, że UFO otoczone jest słabiotką widzialną poświatą otaczająca je po linii poziomej wokół „krezy”, otoczki w miejscu, gdzie góra połowa dysku stykała się z dolną.

Tu już nagle wróciły mu siły i, jak opowiadał to później, zerwał się nagle do ucieczki. Sprintem wyrwał z tego miejsca i po kilku sekundach był na ulicy. Tu oprzytomniał nieco i zrobiło mu się trochę żal widoku UFO, który utracił, a które przecież jak dotychczas nic złego mu nie zrobiły. Po krótkiej chwili wahania wrócił więc na skarpę. Teraz już tylko widział cztery UFO. Trzy krążące daleko nad Wisłą i ten jeden, jak strażnik, stojący na wysokości. Po piętnastym stycznia, gdy nasza ekipa była po raz kolejny w tym miejscu, świadek poddał się niekonwencjonalnemu badaniu przy pomocy licznika Geigera. „Kiedy jedenastego wróciłem z tego samotnego oglądania UFO i rozbierałem się do snu, zaskoczony byłem, jaki kawał zrobiło mi UFO. Na wewnętrznej nogawce dżinsów miałem garstkę włosów, które wypadły mi ze skóry mojej nogi, a na łydce widniały spory, wyłysiały zupełnie, placek bez włosów, jakby mi je ktoś powyrywał razem z cebulkami...”

Poniżej zamieszczam wierny odpis z „Załącznika nr 2 Karty Obserwacji Nr 2/98”

**Dotyczy:** pomiaru promieniowania gamma emitowanego z lewej łydki świadka (personalna zastrzeżone) przy pomocy urządzenia o nazwie „Radiometr”, posiadającego dwa liczniki Geigera.

**Stwierdzono:** pomiar tła w mieszkaniu, średnia z trzech pomiarów = 10,5 mkR/h (mikrorentgenów na godzinę).

**Pomiar miejsca badanego:** lewa łydka jw.: wartość średnia z 30 (trzydziestu!) pomiarów = 6,68 mkR/h.

**Obliczenie:** w miejscu badanym wartość promieniowania gamma „B” jest niższa od tła o 36% .

**Konkluzja:** pozorna nielogiczność wskazuje, że miejsce pomiaru wykazuje wartość niższą od tła, co powtarza się z reguły we wszystkich badanych przez GB UFO przypadkach u osób posiadających wszczepione implanty w danym miejscu ciała. Jednakże na powierzchni skóry w badanej nodze nie stwierdzono żadnego śladu, sugerującego wszczep. Biorąc pod uwagę dodatkowe somatyczne odczucia świadka po kontakcie z UFO i z promieniowaniem otaczającym UFO, być może zachodzi efekt podobny do obecności implantu.



Tu następują podpisy: Michał Zawadzki, autor i p. D.C.

W Górze Kalwarii byliśmy wiele razy, wnikliwie badając ten przypadek wielokrotnej penetracji okolicy przez UFO. Tak jak to zwykle bywa, świadek przy pierwszych naszych spotkaniach nie wszystko mówił od razu. Wiele drobnych szczegółów, uznawanych przez niego za mało ważne, trzeba było po prostu z niego wyciągać i prosić, by zechciał sobie przypomnieć inne ważne dla nas szczegóły terenowe i pogodowe.

Zapamiętał jednak szczegół, który może mieć kluczowe znaczenie w tej całej historii. Otóż, gdy obserwował grupę UFO w dniu 18-tym stycznia, ujrzał, że ciąg światełek obiektów nagle wzbił się z piorunującą szybkością wzwyż i uleciał we wschodnią stronę nieba. „Tak samo jak za pierwszą naszą obserwacją” – dodał świadek. Wizja lokalna na skarpie pozwoliła, by świadek wskazał ręką dokładny kierunek odlotu grupy UFO.

Teraz do pracy zaprzężony został komputer i precyzyjny program astronomiczny. Wykazał on, że UFO oddaliło się w rejon nieba położony wizualnie pomiędzy konstelacją Rysia i Małego Lwa, na prawo od Wielkiej Niedźwiedzicy. W tym rejonie wykazana gwiazda „nie figuruje w rocznikach astronomicznych”.

– Dlaczego nie mówiłeś tego wcześniej? – pytam przy kolejnym przesłuchaniu świadka.

– Wydawało mi się, że to nie ważne, dokąd one odlatywały... to było wówczas kiedy robiłem zdjęcia.



Symulacja obserwacji UFO ze skarpy w Górze Kalwarii.

Do 31-go stycznia prawdopodobnie jeszcze wielu mieszkańców obserwowało te przeloty, jednakże pomimo mojego apelu o zgłaszanie się potencjalnych obserwatorów, nikt nie odważył się na to. W końcu stycznia 1998 roku z mojej inicjatywy TV „WOT” z Warszawy wykonała krótki reportaż z miejsca zdarzenia, na którym „Andrzej” opowiadał o tym z treścią, stojąc tyłem do telewizorów.

Okazuje się jednak, że z końcem stycznia nie ustały „dziwy” nad Górą Kalwarią. Dnia drugiego

lutego rzekomo zauważono nocą nad okolicą, położoną pomiędzy mostami: do Mińska i kolejowym, czarny helikopter. Z relacji świadka wynikało, że nie miał on na swojej powierzchni żadnych znaków.

W roku 1999 nawiązałem kontakt internetowy z jednym z prądujących amerykańskich naukowców-ufologów, psychiatrą i psychologiem, dr. Richardem Boylanem, od którego dostałem zezwolenie na publikację w prasie i Internecie jego prac, również publikowanych poprzez Internet. Oto wyjątek jednej z nich:

„Jestem Sekretarzem Akademii Terapeutyki Klinicznej Przypadków Bliskich Spotkań i mam kontakty z setkami podobnych zawodowców, specjalistów podobnego jak ja rodzaju, pracujących nad badaniami osób, które miały kontakty z ET (dr Boylan używa tego skrótu na oznaczenie „ufonautów”). Nie znalazłem jednak ani jednego wiarygodnego raportu o hipotetycznych ET „pochodzących z Ziemi” od tych specjalistów, ani też żadnych doświadczeń ewentualnie przeprowadzanych z takimi istotami. O ile chodzi o ewentualności obecności „złych ET” na Ziemi, mogą być wysuwane przypuszczenia, że niektóre cywilizacje mogą szukać na Ziemi chęci wyładowania się w zbyt dosadnym (naszym zdaniem) „szkoleniu”, by nie wlokła się ona jako maruder w rozwoju planet.

**Koalicja cywilizacji kosmicznych dąży do stopniowego, otwartego kontaktu z Ziemią** (podkreślenie moje), będąc znanymi na niej »Strażnikami« Są gotowi do »odfiltrowywania« maruderów, dążących do opóźniania rozwoju naszej błękitnej planety. Te deklaracje są potwierdzane w rozlicznych kontaktach ET z ludźmi, od starożytnych i tubylczych przewodników grup ludnościowych, narodów, i są dodatkowo potwierdzone przez wtajemniczonego w prace grupy MJ 12 dr. Michaela Wolfa. Czy ET mogą ochronić Ziemię od »końca świata«, jak na przykład ziemskiego kryzysu ekologicznego, albo nadciągającego kataklizmu przy przebiegunowaniu Ziemi, który jest przed nami? Pozaziemianie mówią nam, że ochronią naszą rzeczywistość – i Ziemię. Pomogą, ale tylko wówczas, gdy ich sami o to poprosimy! (I gdy nie będziemy do nich strzelać! – przypisek mój). Moje analizy i doktorów Mack'a, Sprinkle'a, Fiore'a (autorów znanych również w Polsce) i innych, bazują na zachowaniu się »obcych« na przestrzeni wieków. Działanie jest ważniejsze niż słowa. Przekazy od pozaziemian zawierają ostrzeżenia dla nas przed niebezpieczeństwami czynionymi przez nas samych.

Prowadzą nas przekazując ważne i użyteczne informacje dla korzyści naszej i wzmożenia w nas duchowości i umysłowości. Przygotowują nas (poprzez selekcję ludzi) do akceptacji ich socjalnej obecności i kontaktów z nimi, i przygotowują nas do szerszych kontaktów z zamieszkanymi światami”.



Dr Richard Boylan

Dalej autor wypowiedzi mówi o tym, że Ziemię odwiedza kilka „cywilizacji” kosmicznych. Niektóre z nich chętnie podbiłyby Ziemię, ale właśnie od tego strzegą nas ci, którzy chronią Ziemię i życie na niej. Tym niemniej, wśród nich są wyspecjalizowane grupy, przeznaczone do różnych celów: jedni podsuwają nam perspektywiczne rozwiązania techniczne, inne działają na polu medycyny. Są tacy, którzy dokonują na nas, przeważnie bez naszej wiedzy, eksperymenty

medyczno-genetyczne, prowadzące do stworzenia nowej, ulepszonej rasy istot, która zastąpi z czasem zdegenerowane odłamy naszej populacji. Są również i swoiste „siły zbrojne”, chroniące nas przed obcą ingerencją z kosmosu tych cywilizacji, które chętnie by przejęły Ziemię w swoje władania.

Rzeczywiście, czytając prasę ufologiczną, szczególnie zachodnią i amerykańską, spotyka się czasami opisy walk powietrznych (podobno i podmorskich!) pomiędzy dwoma wrogimi sobie obiektami (UFO), przebiegającymi zazwyczaj w zupełnej ciszy. Tego rodzaju przypadki starć powietrznych pomiędzy kilkoma UFO, ujawnia nam efekty fizyczne, pozornie kłące się z pojęciem walki i gwałtownych przemieszczeń się w powietrzu. Należą do nich właśnie zdarzenia zachodzące w ciszy oraz inne, powodujące gwałtowny spadek temperatury w otoczeniu. Biorąc za porównanie zjawiska, tym razem nie fizyczne ale chemiczne, przyrównać by można te ostatnie fakty do endotermicznych, czyli takich, które pochłaniają energię cieplną z otoczenia. Nie trzeba daleko szukać, u nas w kraju też zachodzą takie zjawiska przy pojawianiu się UFO. Trafił do mnie np. taki przypadek – tu oddaję głos naocznemu świadkowi, pani S.T., która relacjonuje:

„W miejscowości Ryn, pomiędzy Mrągowem a Giżyckiem, 30.06.1999 r. obserwowaliśmy, ja mój mąż, moja córka i jeszcze jedna znajoma o godz. 22.30 dysk optycznej średnicy ok. 3 st. kątowych, pomarańczowy, rzucający w dół smugę światła koloru seledynowego. Obserwacja trwała przez kilka minut. Było cicho i bardzo zimno”.

Sprawdziłem – tego dnia wieczorem w tamtej okolicy o godz. 23.00 do 24.00 było 24 stopnie ciepła Celsjusza, natomiast kobieta ta opowiadała, a potwierdził to jej mąż, że: „musiałam pożyczyc od męża jego marynarkę, bo bym zmarzła”.

Wspominając o „walkach powietrznych pomiędzy UFO”, nie sposób pominąć komunikatu prasowego, opublikowanego przez gazety na terenie Somali w Afryce. Obserwowano tam starcie trzech UFO, z których jeden zawzięcie atakował dwa inne, „strzelając” do nich krótkimi seriami niebieskich błysków. Zestrzelił w ten sposób obydwu „obce” UFO, które zniknęły w potężnych błyskach światła nad Zatoką Adeńską.

Niemiecki *Magazin 2000* w nr 110 z 1996 roku podał, iż po tym incydencie setki ludzi w pobliskim rejonie chorowało na suchy, męczący kaszel. Mieli duże trudności w oddychaniu i silne bóle głowy. Tamtejsze dzieci przechodziły dziwną chorobę, która dla wielu zakończyła się śmiercią. Przy eksplozjach dwóch UFO powstała tak silna fala uderzeniowa, że o wiele mil stamtąd w domach wylatywały szyby. Najdziwniej zachowały się zwierzęta domowe, i to takie, które od tysięcy lat są udomowionym gatunkiem, na przykład psy czy kozy. Po tej bitwie UFO zdziaczały, zapomniały jakby, że żyją w dobrej komitywie z ludźmi. Puciekały od swoich właścicieli na pustynię.

Zauważmy, w momencie drastycznych wydarzeń związanych z UFO, takich jak walki pomiędzy nimi, ich kolizje z ziemią, niektóre lądowania i podobne, zauważa się ewidentne zjawiska fizyczne. To nic, że często dla nas i znanych nam praw fizyki są one czasami „nielogiczne”. To, co dla nas teraz wydaje się dziwne i nieprawdopodobne, za jakiś przeciąg czasu stanie się wyjaśnialne i zrozumiałe. Pamiętajmy, że jeszcze dwieście lat temu uczeni astronomowie z Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego w Anglii uznali za nonsens i brednie „spadanie kamieni z nieba, no bo przecież w niebie nie ma kamieni”. Zaś dokładnie na tydzień przed pierwszym lotem samolotu Bleriota inny poważny fizyk angielski „udowodnił”, iż latanie w powietrzu obiektów cięższych od powietrza to „mrzonki fantastów”.

Czasami spotkanie z „istotami nie z tej ziemi” przebiega zgoła humorystycznie. We wrześniu 1999 roku pewien rencista w podeszłym wieku około północy oglądał telewizję w swoim pokoju na dwunastym piętrze.

„Wyspałem się po południu i w nocy sen mnie wcale nie brał” – zaczął swą opowieść, której słuchałem z zaciekawieniem. – Moje łóżko jest tak usytuowane, że na wprost mojej twarzy stoi szafka, na niej niewielki telewizor a nieco za nim i w bok od niego otwarte o tej porze roku okno.

We wrześnie było jeszcze na tyle ciepło, że spałem przy oknie zupełnie otwartym.

Leżałem na wznak okryty ciepłym kocem. W pewnym momencie, gdy oglądałem jakiś program na ekranie telewizora, zobaczyłem, że ktoś ściąga ze mnie koc. Leżąc na plecach zobaczyłem że zjechał mi już z piersi na brzuch. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem obok telewizora stojącą w nogach mojego posłania niewielką szarawą postać z dużym łbem, nachyloną nad końcem koca na moich nogach. Wiem z ust mojego przyjaciela, pana Wilka, że mój pokój leży na przebiegu jednego z kanałów sieci, odkrytej przez niego, ale widok tego szaraka, który ściągał ze mnie koc tak mnie wzburzył, że sam się dziwię swojej reakcji. Zamiast przestraszyć się, wydarłem się na niego »sper...«!

Zniknął jak zdmuchnięty w stronę okna, ale widziałem że w tym momencie zawadził o róg szafki. Przysiągłbym, że słyszałem jego pisk...

Ufiak, czy nie ufiak, pomyślałem, ale tu jest przecież dwunaste piętro. Czy on wylatując przez okno nie zrobił sobie coś złego? Wyjrzałem więc oknem, ale pusto było wokół. Położyłem się więc ponownie do łóżka.

Wybiło mnie to trochę z równowagi... jeszcze pół godziny oglądałem TV, aż wreszcie, owinąwszy się mocno kocem, zgasilem światło. Nerwy jednak nie dawały mi usnąć i... za chwilę poczułem, że on znowu tu jest, ale tym razem bezczelnie usiadł na mnie okrakiem.

Tu już nie wytrzymałem – wrzasnąłem tak, że obudziłem żonę śpiącą w drugim pokoju.

Sper.. stąd, ja tu jestem panem! Znikł momentalnie i od tej pory już się nie pokazał”.

\* \* \*

„Blisko tego skrzyżowania była ścieżka w bok, a dwa kroki dalej leśna ławka, drewniana na betonowych słupkach. Na ławce siedziała dziwna istota. Na jej widok serce zaczęło mi bić jeszcze mocniej.

To była mała istotka ubrana w ciemnozielony »dres«, ale tak mała, że siedząc na ławce, nogi jej zwisały się... obie dłonie, jakby w tego samego koloru rękawicach, trzymała oparte na kolanie. Ta istota miała twarz ciemnobrązowej małpy...

Wydawało mi się, że nad jej głową pobłyskiwał żółtofioletowy, jakby płomyk...

Obleciał mnie taki strach, że ruszyłem dalej bardzo szybkim krokiem. Im dalej odchodziłem, tym bardziej zmniejszały się moje przypadłości. Było dla mnie kompletnym zaskoczeniem, że po piętnastu minutach znalazłem się przy zabudowaniach Parku Kultury, a przecież od skrzyżowania dróg, gdzie widziałem tę istotkę, było cztery kilometry!

Dodam, że gdy odchodziłem stamtąd i po paru minutach obejrzałem się, nie zaobaczyłem za sobą lasu, lecz tylko »białą, jakby falującą zasłonę«”.

Pan Czesław mimo, że trzymał swoją przygodę w tajemnicy, zwierzył się z niej swojemu przyjacielowi. Nie wiedział, że trafił akurat na ufologa...

Piętnastego marca 1987 roku, a więc w trzy tygodnie po zdarzeniu na miejscu była grupa badawcza ufologów, w której m.in. był p. Miłosław Wilk i autor . Stwierdiliśmy, że kilkanaście metrów od ławeczki, na której siedział „ufoludek”, w krzakach był aktywny krąg UFO, tak jakby UFO było tam stale ale w fazie pozawidzialnej.

Wykonaliśmy wówczas szkic tej okolicy, miejsce ławeczki z „ufoludkiem”, miejsce pobytu niewidzialnego UFO i następnego dnia, 16 marca 1987 roku pokazaliśmy to jako reportaż w „Telewizyjnym Kurierze Warszawskim”. Oczywiście, potraktowano to jako wiadomość „z przymrużeniem oka”...

Dziewiątego maja 1987 roku samolot PLL „LOT”, lecący z Warszawy do USA, zawrócił z nad Grudziądza z powodu „awarii”. Wracając do Warszawy samolot minął las Kabacki, zawrócił pod wiatr i kierował się ku lotnisku na Okęciu. Jego droga wiodła nad zachodnim skrajem tego lasu. Nagle wszedł w ostrą pikę w dół i runął w las, wycinając skrzydłami pas wśród drzew, szerokości około 100 m i długości dwustu. Zginęło wówczas 183 pasażerów i 9 członków załogi. W lesie

kabackim stoi teraz pomnik ku ich pamięci.

Katastrofa stała się o godzinie 11.15.

O 300 metrów od jej miejsca siedział na ławce p. Wojciech Z., były pilot ciężkich bombowców z polskiego skrzydła RAF z czasów wojny. Nie słyszał eksplozji, która rozerwała samolot na strzępy. Rozmawiałem z nim następnego dnia. Mówił, że przy bardzo silnym wybuchu fala dźwiękowa idzie wpierw w górę, czasem na kilometr wysoko i dopiero po około 500 metrów od epicentrum wybuchu, opada ku ziemi i dalej rozchodzi się centrycznie. On sam wówczas znalazł się w „martwym polu dźwięku” i niczego nie słyszał, bo to było technicznie nie możliwe.

W dniu katastrofy, ja i kilku moich kolegów, zostaliśmy powiadomieni o tym fakcie już o godzinie 11.45, a więc w pół godziny po zdarzeniu. Przyczynił się do tego jeden z ufologów, wówczas fotoreporter rządowej Centralnej Agencji Fotograficznej, która bywała o takich zdarzeniach natychmiast powiadamiana. Już o godzinie 12.20 opracyjna grupa ufologów szła szybkim marszem od Powsina ku miejscu katastrofy. Niestety, Milicja otaczała już je kordonem, tak że nie dotarliśmy tam...

Nie szukaliśmy tam sensacji ani wrażeń. Wiedzieliśmy natomiast, że w takich przypadkach czasami udaje się fotografować dziwne rzeczy. Jeden z naszej grupy, fizyk Michał G., używając aparatu „FED”, uchwycił na zdjęciu coś dziwnego. Fotografował na filmie czarno-białym, ale dla ujawnienia niekontrastowej smugi nałożyliśmy na odbitkę niebieską barwę.



To jest pierwsza publikacja tego zdjęcia!

Czy fakt, że w pobliżu miejsca rozbicia się samolotu, uchwycono na zdjęciu jakieś dziwne wyładowanie, o charakterze pulsującej smugi, świadczy o tym, że „UFO” miało coś wspólnego z tą katastrofą? Oczywiście, że nie.

Taka możliwość mogłaby zajść, gdyby były na to jakieś przesłanki.

Nie zapominajmy jednak, że przy badaniu tego miejsca przed katastrofą, bo 15 marca 1987 roku, obecny był p. Miłosław Wilk, który już wówczas wykrył obecność aktywnego kręgu UFO i sporządził odpowiedni szkic.



Schemat z „Sieci Wilka”: ławeczka, zaznaczona na czarno, z prawej krąg UFO.

Ufonauta i UFO byli w tym miejscu 76 dni wcześniej, zanim katastrofa miała miejsce. Czy „obcy” wiedzieli z góry, że będzie ona mieć miejsce? Nie możemy wykluczyć takiej możliwości, dopuszczając, że „UFO” swobodnie przemieszcza się w czasie, a zatem również „wstecz” jak i „w przód”. Faktem jest, że nie istnieje już tam ławeczka, na której siedział ufoludek, skosił ją samolot, który spadł dokładnie na to miejsce, gdzie była i ławeczka i UFO...

### **Reptiloidzi**

W roku 1996 dowiedzieliśmy się o lądowaniu UFO w lesistej okolicy 40 km na wschód od Warszawy. Znajduje się tam instytucja, której nazwy ani dokładnej lokalizacji nie możemy podać. Wiadomość dotarła do nas dopiero w 4 lata po fakcie, gdyż lądowanie miało miejsce 20 czerwca 1992 roku. Dopiero 11 sierpnia 1996 roku, pojechaliśmy tam we trzech, by zbadać ten przypadek na miejscu.

Na terenie znajduje się kilka budynków „instytucji” oraz parę budynków mieszkalnych dla pracowników. Stwierdziliśmy, iż świadkami zdarzenia było jedenaście osób dorosłych.

W dniu 20 czerwca 1992 roku, w sobotę, w godzinach popołudniowych, w jednym z budynków znajdowali się wszyscy „świadkowie”, była godzina 16.00, gdy ujrzeli, że na drodze wewnętrznej, pojawił się „nie wiadomo skąd” obiekt podobny do dysku z kopułą. Kopuła otoczona była u dołu wianuszkiem kolorowych świateł. Średnicę obiektu oceniono na 4 metry, a wysokość na 2 m.

Barwa dysku: ciemno-stalowa, matowa. Nie widziano w obiekcie żadnych okien, anten czy jakichkolwiek zewnętrznych szczegółów. Dysk pouszał się niskim powolnym lotem tuż nad jezdnią, na wysokości 0,5 do 1 metra. W pewnej chwili skręcił, przeleciał w bok od drogi ku ścianie niewielkiego lasu iglastego i tam wylądował blisko ściany drzew.

Przebywał tam kilka minut. Nie widziano, by miał jakiegokolwiek podpory czy nogi. Później powoli wzbił się w górę i najpierw poleciał w kierunku piaszczystego pola o powierzchni ok. 1 ha; krążył nad nim kilka minut, poczym wrócił nad wewnętrzną asfaltową drogę i poleciał między budynkami ku tylnej bramie posesji. W tym momencie skończyła się obserwacja świadków, gdyż obiekt znikł za ścianą lasu.

Wzburzeni świadkowie po dyskusji doszli do wniosku, że należy się skontaktować z „UFO”. W tym celu napisali na kartce „jesteśmy ludźmi, skontaktujcie się z nami”. Kartkę przyklepili na zewnętrznej stronie szyby w łazience na II-gim piętrze.

Drugiego dnia rano stwierdzono, że kartka na szybie jest, ale przyklepiona kleistą substancją „do

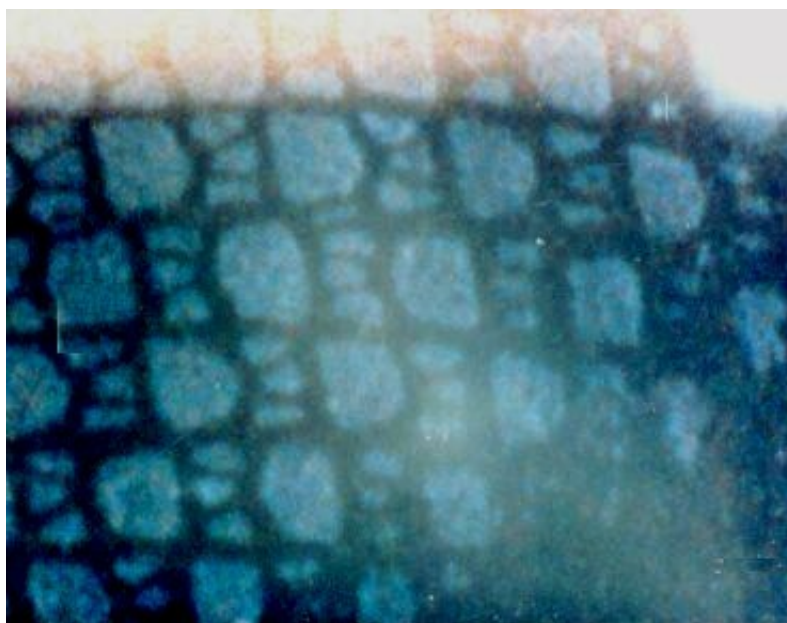
góry nogami”, napisem w stronę szyby, a oprócz niej szyba po stronie zewnętrznej pokryta jest odcisniętymi śladami „łap”, z których każda była czteropalczasta. Długość tych śladów wynosiła około 20 cm, przy czym były one wąskie. Na szybie dość wyraźnie odcisnięte były po trzy człony palców tych istot. Tu uwaga – ludzie mają po DWA CZŁONY PALCÓW.

Świadkowie mówili, że patrząc skosem na szybę od wnętrza łazienki, widać było trójwymiarowy obraz niektórych łap, przy czym widać było, że nie mają one kciuka, natomiast na czubkach palców pazury.

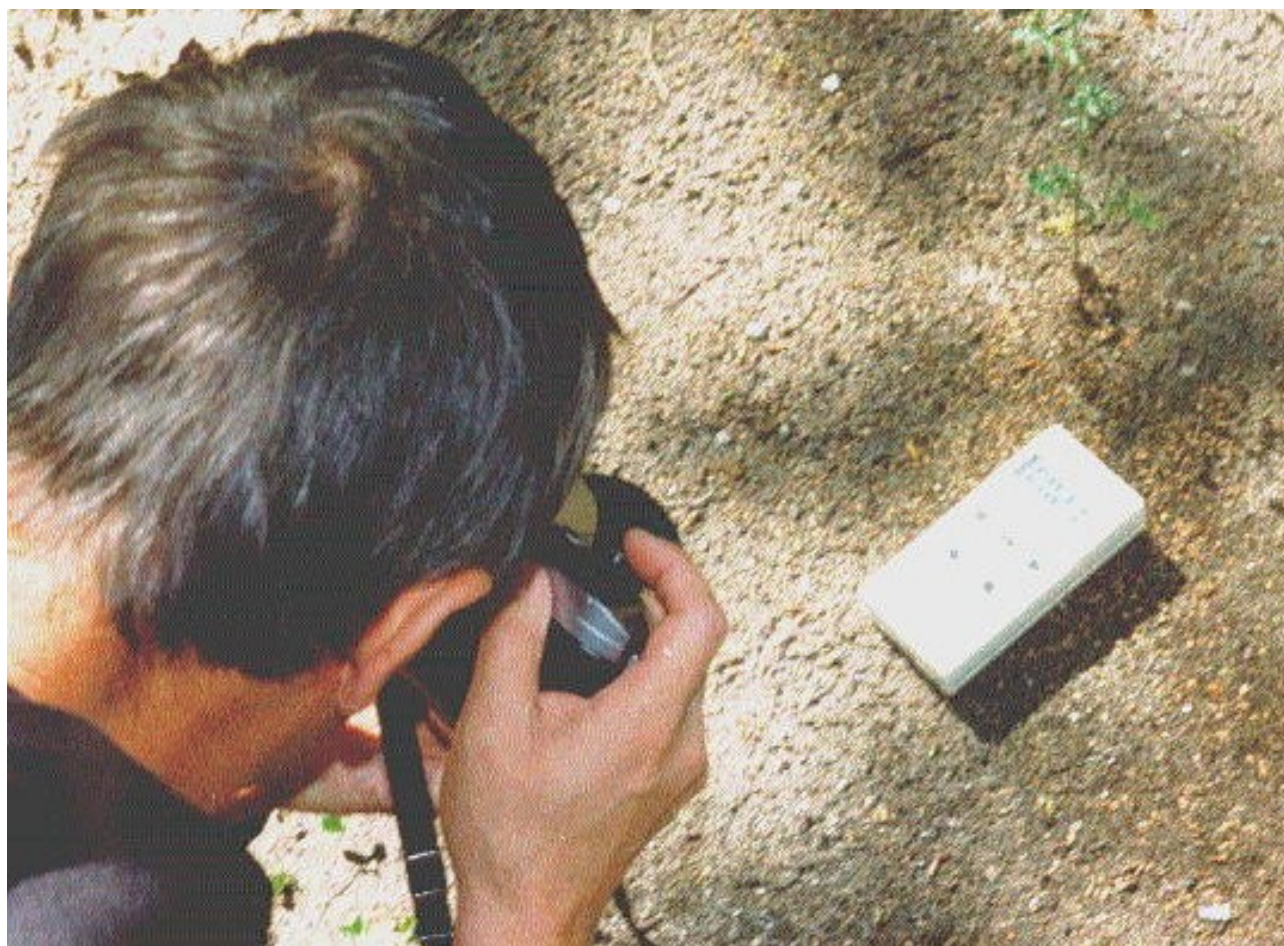
Od chwili zdarzenia do naszego tam pobytu minęły cztery lata. Przez ten czas wielokrotnie myto szyby renomowymi środkami czystości, ale mimo tego, w narożach szyb, pozostało nieco niedomytych miejsc, na których uchoowało się nieco śladów. Fotografowaliśmy te miejsca, podkładając z drugiej strony kawałek czarnego papieru dla uzyskania kontrastu. ŚLADY NA SZYBIE BYŁY ODCISKAMI SKÓRY GADÓW! Istoty, które odcisnęły ślady na szybie były REPTILOIDAMI.



Ufolog Dariusz C., bada miejsce lądowania UFO.



Odcisk skóry reptiloida.



Pomiar promieniowania gamma.





Kazimierz Bzowski bada radiestezyjnie ślad lądowania UFO.

### **Chomiczówka – 1985 rok**

Chomiczówka – to nazwa północno-zachodniej części Warszawy, a zarazem część dzielnicy Żoliborz. We wrześniu roku 1985, pan Dariusz C., jeden z członków nie istniejącej już „Grupy Badań UFO”, wykonał na slajdzie do światła sztucznego dwa kolejne zdjęcia terenu, nad którym ostatnio zauważał dziwne, krótkotrwałe błyski na nocnym niebie. Tego, co uchwycił na tych zdjęciach, nie widział wzrokowo. Są to typowe „niewidzialne UFO”, o których jest coraz bardziej głośno w ufologii polskiej.

Zjawiska te są trudne do wyjaśnienia, nawet na gruncie dotychczasowych hipotez ufologicznych, znacznie łatwiej natomiast jest tego rodzaju „niewidzialność” wyjaśnić za pomocą hipotez, mieszczących się w obrębie „Sieci Wilka” i strumieni informacji płynącej tą siecią, która, w określonych warunkach, może „dekodować” się do różnych faz istnienia w naszej przestrzeni: od zjawisk zachodzących w obrębie światła wzrokowo niewidzialnych, poprzez obrazy w zakresie światła widzialnego, struktur sub-materialnych, aż do struktur nie tylko materialnych ale nawet nad-materialnych, takich, w których ich gęstość przekracza wszystkie rodzaje materii, istniejącej w naszym świecie.

Spójrzmy na dwa zdjęcia wykonane kolejno. Zauważmy szczegóły zdjęć:



Faza pierwsza



Faza druga

Na pierwszym zdjęciu: na tle wysokiego słupa lampy ulicznej widać niewielki obiekt jasno świecący. Jego grubość nie jest większa niż grubość samego słupa, to jest ok. 30 cm. Na drugim

zdjęciu, wykonanym w 2 minuty po pierwszym – obiekt odleciał z tła słupa w prawo. Czym on był? Jak na „UFO” wydaje się za mały... ale gdzie jest powiedziane, że UFO musi być duże?

### **Zakończenie**

W chwili, gdy to piszę, jest połowa roku 2002. Zaczęło się trzecie tysiąclecie. Co zmieniło się w kontekście UFO? NIC.

Pojawiają się one nadal na całym świecie, tyle tylko, że nieco więcej teraz wiemy o tym W JAKI SPOSÓB „ONI” TO ROBIĄ.

W znacznym stopniu przyczyniły się do tego badania „para-naukowców”, „naukowców-amatorów”, dla których poszerzanie wiedzy o Wszechświecie, a tym samym tak dobrze o UFO jak i o nas samych, jest celem ich życia. Do tego doszły niektóre odkrycia, poczynione przez fizyków, a szczególnie przez profesora fizyki na Uniwersytecie Princeton w USA, prof. Lijun-Wanga, który w połowie roku 2000 uzyskał doświadczalnie i wielokrotnie trzystukrotne przekroczenie prędkości światła, uzyskując prędkość 90 milionów kilometrów na sekundę! Po chwilowym szoku, jaki ogarnął większość fizyków – posypały się ich uwagi, że to bzdura, że Lijun-Wang podważa „uświęconą” Teorię Względności Einsteina, że itd., itp., ple-ple-ple.

Sęk w tym, iż założenia eksperymentu w Princeton nie tylko nie podważają teorii względności, ale ją potwierdzają. Te wszystkie „kąśliwe” uwagi sceptyków, mówią tylko o tym, że antagoniści nie znają dogłębnie tej teorii.

Osiągnięcie tego profesora w oststecznym rezultacie potwierdza założenia... „Sieci Wilka” oraz możliwości przybywania do nas UFO z innych obszarów czasu, nawet z naszej przyszłości i przeszłości...

Kończąc pisanie o UFO wiem, że gdy nadejdzie mój czas, będę mógł pomyśleć:

NON OMNIS MORIAR (Nie wszystkim umrę; będę żył w moich utworach)